

Z repertuaru Włodzimierza Wysockiego (str. 2-3) Jesteśmy częścią ziemi (str. 2-3) Okoliczności aresztowania Berii (str. 4-5)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933



PL ISSN 0187-7168 Nr 104 502514

kamena

NR 8 (906)

17 kwietnia 1988

Cena 35 zł

Grottger chciał żyć normalnie

Ireneusz J. Kamiński

WIEKIE zainteresowanie publiczności budzi wystawa „Artur Grottger (1837–1867)” obejmująca ponad 450 prac artysty, w tym ośmнадцать cykli: „Warszawa I”, „Warszawa II”, „Polonia”, „Litwania” i „Wojna” które narzuciły polskiej wyobraźni zbiorowej wizję narodowej drogi przez meki oznaczonej na in tragedia powstania styczniowego. Ludzie z przejęciem oglądają wystawę która po premierze we Wrocławskim Muzeum Narodowym przeniesiona została niedawno do Krakowa, a w sukurs tej celebrze spieszą uczeni, uznający oto Grottgera za wieszcz!

Jakie czasy, takie emocje, jaka potrzeba wewnętrzna, taki szloch romantyczny.

Dokończenie na str. 8–9

Legiony, POW, Piłsudski str. 4-5



Fot. Przemysław Ostrzyżek

Nagrobek Żyda-legionisty na cmentarzu w Jastkowie

„Nie chcemy robić żadnej polityki wokół tragedii getta”

Rozmowa z Adamem Kwaterko, wiceprezesem Towarzystwa Kulturalnego Żydów w Polsce redaktorem naczelnym tygodnika „Fotks - Sztyme”

— Kiedy próbowałem umówić nasze spotkanie, nie odniósł się pan do tej propozycji entuzjastycznie. W pana głosie wyczułem jakby gorzkość. Czy mógłby pan to w jakiś sposób skomentować?

— Byłem ostatnio na Międzynarodowym Kongresie Dziennikarzy w Jerozolimie. Zanim zdążyłem jeszcze zabrać głos, poinformowano mnie, że mam do swej dyspozycji zaledwie pięć minut. Oburzyłem się. „Przecież ważne

jest to, co się mówi, a nie to, jak długo się mówi?” — pomyślałem. Kiedy zacząłem opowiadać o Polsce, o tej garstce cudem ocalałych Żydów, na sali zapanowała cisza. Mówiłem przez kwadrans, a wielu słuchaczy wyrażało potem zdumienie.

Dla naszej sprawy i dla naszego losu nie potrzeba jednak reklamy. A wywiady to trochę reklama, a trochę czasowe ograniczanie myśli. Dlatego nie lu-

bię ich udzielać. I dlatego nie przejawiałem entuzjazmu również wobec pańskie propozycji. Ostatnio wielu dziennikarzy zwraca się do nas z prośbą o wypowiedzi. Ale wywiady to także polityka, a my nie robimy i nie chcemy robić żadnej polityki wokół tragedii getta. Kiedyś przewlekał tu na przykład wysłannik amerykańskiego „Newsweeka” aby penetrować różnice między działalnością naszego Towarzystwa a postawą dr. Marka Edel-

mana. Edelman chodził swoimi drogami i nasze koncepcje się różniły. Tak. Wywiady to zawsze trochę polityki. Ponadto ja nie walczyłem w getcie. Podczas okupacji zginęła tylko cała moja rodzina — ojciec, matka, brat i dwie siostry. Tymczasem żyje jeszcze kilku powstańców. To z nimi należałoby rozmawiać.

Dokończenie na str. 8–9

Red. MARKOWI ADAMOWI JAWORSKIEMU - z okazji 40-lecia pracy dziennikarskiej - życzenia zdrowia i sukcesów zawodowych składają PRACOWNICY „KAMENY”

Do 29 kwietnia - zgłoszenia kandydatów na radnych

„WYBORCY!
Wspólnie z kandydatami tworzymy krępy program działania nowych rad na nadchodzące lata. Pytajmy kandydatów, co i jak zamierzają czynić.

Wskazujemy problemy do rozwiązania. Poszukujemy wspólnie sposobów poprawy sytuacji w gminach, miastach, regionach. Dajmy szansę tym, którzy mają konstruktywne propozycje re-

związania naszych problemów. Dajmy szansę młodym. Postawmy na ludzi z pasją społecznikowską. Zadbajmy o to, aby w programach działania sformułowane zostały najpilniejsze potrzeby z realnymi możliwościami, aby gospodarowanie było bardziej skuteczne, aby większa była nasza wspólna przedsiębiorczość i gotowość do czynu”.

Z deklaracji wyborczej Rady Krajowej PRON

Obroty spraw

1000-LECIE CHRZTU RUSI

Metropolita kijowski i halicki, Filaret, w wywiadzie dla „Izwestia”:

„Centrum uroczystości będzie Moskwa. Właśnie tu 5 czerwca nastąpi inauguracja obchodów. Zwróciliśmy się do rządu z prośbą o udostępnienie nam pomieszczeń Teatru Wielkiego. Zamierzamy w nim odbyć uroczyste posiedzenie, poświęcone 1000-leciu chrztu Rusi. W posiedzeniu tym wezmą udział członkowie Soboru Ziemskiego, honorowi goście zagraniczni i przedstawiciele społeczeństwa. Tego samego dnia zorganizowany zostanie koncert muzyki dawnej i cerkiewnej. Uroczystości zakończą się 16 czerwca w Kijowie, Włodzimierzu i Leningradzie. Następnie uroczystości odbędą się w diecezjach naszego Kościoła”.

JERZY KOSIŃSKI:

„Jestem powieściopisarzem piszącym po angielsku, którego inspiracje wypływają z głębokich, wewnętrznych polskich, ale też żydowskich i amerykańskich źródeł. Carson McCullers mówi, że pisarz jest nie tylko samotny, ale i amorficzny, bezpostaciowy. Szybko odkrywa, że nie ma tożsamości, że żyje życiem powoływanych przez siebie postaci. Pogody natomiast, w których trwa, są niezależne od konkretnego dnia, w jakim się właśnie znalazł. Ja w to wierzę” („Przegląd Tygodniowy” nr 15).

Autor „Pomalowanego ptaka” gościł w Lublinie (10 bm.) na zaproszenie Centrum Polonijnego UMCS. W następnym numerze „Kamena” relacja z tego spotkania.

„CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE MA”

Pod takim tytułem publikacja Marka Zieleniewskiego w tygodniku „Wprost” (nr 14). Autor cytuje wprost, choć przeważnie anonimowo, opinie o Piotrze Jaroszewiczu.

„Współpracownik Piotra Jaroszewicza z lat sześćdziesiątych:

— To był chyba jedyny człowiek z otoczenia Gomułki, który nie bał się sam podejmować decyzji. Nie Kliszko i nie Jaszczuk — tylko właśnie on. A towarzyszy Wiesław nie lubił zbyt samodzielnych. Poza tym nie ufał Jaros-

zewiczowi. Nieraz w większym gronie czynił aluzje do jego „sanacyjnej przeszłości”. Ale chyba nawet on liczył się z „możliwymi przyjacielami”, których Jaroszewicz miał pozyskać w czasie wojny. Zresztą to na pewno nie był młot. Nikt z krajów socjalistycznych nie potrafił i nie śmiał tak chociażby twardo i tak bezceremonialnie jak on negocjować z towarzyszami radzieckimi podczas posiedzeń komisji RWPG-owskich. No i tak trwał: za silny, aby odejść, i za słaby, aby pójść w górę. [...]

Wieloletni działacz państwowy centralnego szczebla: — Gierkowi potrzebne były chyba przede wszystkim zdecydowanie i bezkompromisowość Jaroszewicza. Chciał mieć po prostu w duecie kogoś, kto reprezentowałby walory, których on sam nie miał. No i windując chorobliwie ambitnego Piotra Jaroszewicza, po kilkunastu latach bezbrachu tamtego w poprzedniej ekipie, mógł liczyć Gierek na jego całkowite oddanie. [...]

Fotel Piotra zaczął się chwiać. Gierek uwierzył w swoją wiekopomną misję pielgrzyma, a Jaroszewicz nie zapewniał mu już — tym razem w przerwach między podróżami — komfortu psychicznego. Podniosła głowę grupa oponentów: i w Biurze, i w rządzie. To był sojusz na zasadzie: mamy różne interesy, ale wszyscy się go boimy i nikt z nas go nie cierpi”.

„WŁADZA JEST TAKA,

jaką stworzą ją ludzie, jakie jej oblicze nadadzą. To nieprawda, że władza jest niereformowalna. Albo system. To ludzie są niereformowalni. W tym rzecz” — powiada karykaturzysta Jacek Rupiński („Kultura” nr 13).

Rzecz w tym, czy niereformowalny jest ten i ów człowiek, który akurat władzę sprawuje, czy też może ludzkość w ogóle jest niereformowalna? Szekspir coś o tym wiedział.

ZYWNOSC SZKODZI?

W czasopiśmie coraz więcej medytacji nad faktem, iż polska żywność jest niezdrowa, a polska dieta — nieracjonalna. Smutny ów temat tak się oswoił na łamach, że niektórzy biorą go na wesoło:

„Mleko? W Polsce trujące. Ryby? — olów. Mięso? — cholesterol. Jarzyny? — zatrute. Woda? — zabójcza. Jaja? — śmiertelne. Pieczywo? — tuczające, a nadwaga — patrz jaja. Sól — nerki. Cukier? — zęby. Słowem nie bierz nic do gęby” — pisze Daniel Passent w „Polityce” (nr 15).

Zawsze mówiłem, że samo życie jest szkodliwe, a w dodatku źle się kończy.

Pdg

WIELKI wódz w Waszyngtonie przesyła nam wiadomość, że pragnie kupić naszą ziemię.

Wielki wódz przesyła nam także słowa przyjaźni i dobrej woli. To miło z jego strony, bo wiemy, że nie potrzebuje naszej przyjaźni. Rozważymy więc jego życzenie. Wiemy bowiem, że jeśli nie sprzedamy ziemi, to biały człowiek być może przyjdzie z bronią i weźmie sobie naszą ziemię. Jak można kupić lub sprzedać niebo albo ciepło ziemi? Ta myśl jest nam obca. Skoro nie posiadamy świeżości powietrza i polyskiwania wody — jak możecie je od nas kupić? Rozważymy to.

Wielki wódz w Waszyngtonie może polegać na tym, co mówi wódz Seattle, tak jak nasz biały brat może być pewny powrotu pór roku. Moje słowa są jak gwiazdy, nie giną w mroku.

Każda część tej ziemi jest dla mojego ludu święta, każda błyszcząca igła jodły, każdy piaszczysty brzeg, każda mgła w ciemnych lasach, każda polana, każdy brzęczący owad jest święty w myślach i doświadczeniach mojego ludu. Soki wstępujące w drzewa niosą wspomnienia o czerwonym człowieku.

Zmarli białych ludzi zapominają o swej rodzinnej ziemi, gdy odchodzą, aby przebywać wśród gwiazd. Nasi zmarli nigdy nie zapomną tej przepięknej ziemi, gdyż jest ona matką czerwonego człowieka. Jesteśmy częścią ziemi, a ona jest częścią nas.

Pachnące kwiaty są naszymi siostrami; sarna, koń, orzeł — są naszymi braćmi. Skaliste wzgórza, soczyste łąki, ciepło kuczka i człowiek — wszystko stanowi jedną rodzinę.

Gdy więc wielki wódz w Waszyngtonie wysłał do nas wiadomość, że zamierza kupić naszą ziemię, żąda od nas bardzo wiele. Wielki wódz zawiadamia nas, że da nam miejsce, gdzie będziemy mogli żyć przyjemnie wśród swoich. On będzie naszym ojcem, a my jego dziećmi. Ale czy tak kiedykolwiek będzie? Bóg kocha wasz lud, a opuścił swoje czerwone dzieci. Przysłał maszyny, aby pomóc białemu człowiekowi w pracy, i buduje dla niego wielkie wioski. Czyny wasz lud coraz silniejszym. Wkrótce zalejecie ziemię, tak jak rzeka występuje z brzegów po napięciu deszczu. Mój lud jest jak fala odpływu, która jednak już nie wraca.

Nie. Należymy do różnych ras. Nasze dzieci nie bawią się razem, a nasi starcy nie opowiadają tych samych historii. Bóg sprzyja wam, a my jesteśmy sierotami. Pomyślmy o waszym życzeniu kupna naszej ziemi. To nie będzie łatwe, bo ta ziemia jest dla nas święta.

Te lasy są naszą radością. Nie wiem — jesteśmy inni od was. Lśniaca woda poruszająca się w strumieniach i rzekach nie jest tylko wodą, lecz krwią naszych przodków. Jeżeli sprzedamy wam naszą ziemię, pamiętajcie, że jest ona święta i każde jej przelotne odbicie w czystej wodzie jezior opowiada o dziejach i zwyciężach mojego ludu. Szmer wody jest głosem moich przodków. Rzeki są naszymi braćmi — gaszą nasze pragnienie. Rzeki unoszą nasze łodzie i żywią nasze dzieci.

KRONIKA KULTURALNA

„Nasza Księgarnia” najstarsza w Polsce oficyna wydawnicza dla dzieci i młodzieży, urzędziła w Lublinie, korzystając z pomocy miejscowych instytucji szerzeg interesujących imprez, w tym efektowną i pouczającą wystawę książek i czasopism. Pierwsza edycja tego pokazu czynna jest (do 16 bm.) w Szkole Podstawowej nr 16 przy ul. Poturzyńskiej, druga będzie można obejrzeć (od 21 do 30 bm.) w Szkole Podstawowej nr 22 przy ul. Rzeckiego. Wystawie towarzyszą kiermasze książek (15 i 22 kwietnia).

W dawnej bohnicy przy ul. Lubartowskiej 10 otwarto 8 bm. Izbę Pamięci Żydów lubelskich, która składa się z dwóch części: kulturowej i muzealnej. Izbę odwiedzić można w piątek i niedzielę, w godz. 11-13.

W lubelskiej hali WOSIR tańczyło i śpiewało (przy końcu marca) „Mazowsze”, entuzjastycznie przyjmowane przez widzów.

Wybitny malarz warszawski, uczestnik przedostatniego Biennale w Wenecji, Andrzej Fogt prezentuje swoją ekspresyjną, ale i perfekcyjną warsztatowo twórczość w zamojskim BWA — do 22 kwietnia. Polecamy! A przy okazji, szczerze i mile zdumieni, podajemy do wiadomości, że wspomniane BWA już teraz dysponuje okazałym, eleganckim i kolorowym katalogiem retrospektywnej wystawy ilustracji i rysunków Olgi Slemaszko, która to ekspozycja otwarta będzie dopiero 4 maja. Takie publikacje ukazują się u nas rzadko, należącej — i tu pieszczonemu — po fakcie (wystawowym). Na zlecenie BWA rzecz wydał lubelski oddział KAW.

Z repertuaru Włodzimierza Wysockiego

CAR NIKOLASZKA NA RUSI KIEDYS ŻYŁ

Car Nikolaszka na Rusi kiedyś żył i choć nie był pięknego oblicza, za niego hodowali karasie, za niego rodziły się prosięta, w jego czasach było co wypić i czym zakąsić, ale w październiku Jetau ciut ciut nastukali, wówczas dowiedzieliśmy się całej prawdy o nim: że nie lubił Żydów, robotników zadreżzał, nie widział dalej od swego nosa.

Towarzysz Stalin był później jak rodzony ojciec: budował domy, budował GES, 1) budował TES, 2) przy nim rozkwitły kolechozy, ze szczęścia laly się lzy, zbliżał się wówczas kres kapitalizmu, ale w październiku mu nakopali troche, wówczas dowiedzieliśmy się całej prawdy o nim: że naruszał marksizm, wielu pozbawił życia, w lagrach wykończył wszystkich co do jednego.

Potem Nikituszka. On wiekiem starszy był, ale za to dokonał wielu dzieł: przy nim oraliśmy ugory,

przy nim próbowałimy latać na księżyc, wówczas osiągnęliśmy świetlane szczyty, ale w październiku postukali go ciut-ciut, wówczas dowiedzieliśmy się całej prawdy o nim: że Nasera nagroził, że Treachera odstawił i że zawsze wszystko w dupie miał.

A my, jak dawniej, wciąż przemę naprzód, a jeśliby ktoś i przypadkiem zmarł, po to jest ta historia, po to jest ta piosenka, ni słowem, ni pół-słowem nie sklamie ona ci.

1) GES — elektrownia wodna
2) TES — elektrociepłownia (przyp. tłum.)

TOWARZYSZ STALIN

Towarzyszu Stalin — Wy wielki uczoney, z językoznawstwem dokładnie obeznany, ja prosty człowiek w tajdze uwiezony, a mój towarzysz — szary briański wilk.

Za co ja siedzę, szczerze mówiąc, nie wiem, lecz prokurator z pewnością rację miał. I tak siedzę w Turuchańskim Kraju, gdzie za cara zesłańcem byliście i Wy. I oto siedzę w Turuchańskim Kraju, a tu strażnicy surowi i żli.

Autorem tego tekstu jest wybitny wódz szczepów indiańskich Duamiszów, Sukwamiszów i innych — Seattle (1786—1866). Urodził się w pobliżu miasta, które dziś nosi jego imię. Jak podaje Dictionary of American Biography — „uczęszczał do szkół”. W roku 1855 Seattle wystosował do czternastego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Franklina Pierce'a, list — jako odpowiedź na propozycję odstąpienia ziem tych szczepów białym osadnikom i umieszczenia Indian w rezerwacie. Jest to tekst niezwykle, o wyjątkowej urodzie — zarówno gdy idzie o jego przesłanie humanistyczne, jak i walor literacki. Tłumaczenia dokonała grupa studentów III roku filologii germańskiej KUL na podstawie: Seattle, Wir sind ein Teil der Erde, Olten und Freiburg i. Brsg. 1984.

Jesteśmy częścią ziemi

Jeżeli sprzedamy wam naszą ziemię, pamiętajcie i uczcie wasze dzieci, że rzeki są naszymi braćmi — i waszymi — i kochajcie je, jak kochacie braci. Czerwony człowiek ustępował zawsze napierającemu białemu człowiekowi — tak jak poranna mgła ustępuje w górach wschodzącemu słońcu. Lecz prochy naszych ojców są dla nas święte, ich groby są uświęconą ziemią. Przekazano nam to, co drzewa, ta część ziemi jest dla nas święta. Wiemy, że biały człowiek nas nie rozumie. Dla niego ten skrawek ziemi nie różni się od jakiegokolwiek innego, gdyż jest on obcym, który przychodzi nocą i zabiera ziemię — wszystko to, czego potrzebuje. Ziemia nie jest dla niego bratem, lecz wrogiem; gdy ją zdobędzie, kroczy dalej. Zostawia za sobą groby swoich ojców i nie troszczy się o nie. Kradnie ziemię swoim dzieciom i nie troszczy się o nie. Zapomina o grobach swych ojców i prawach swych dzieci. Swoją matkę — ziemię i niebo — swego brata traktuje jak przedmiot, które może kupić, zagrabić i sprzedać jak owce czy świecidełka. Jego chciwość pochłania ziemię i nie pozostawia po sobie niczego, jak tylko pustynię.

Nie wiem — jesteście chyba inni od was. Widok waszych miast sprawia ból oczom czerwonego człowieka, być może czerwony człowiek jest dziki i niczego nie rozumie.

Nie ma ciszy w miastach białych ludzi. Nie ma miejsca, w którym wiosną można by usłyszeć rozwijanie się liści lub brzęczenie owadów. Może jednak tylko dlatego, że jestem dziki i niczego

nie rozumiem. Zgiełk rani tylko nasze uszy. Cóż pozostaje z życia, gdy nie można usłyszeć samotnego krzyku ptaka lub sporów żab nad stawem nocą? Jestem czerwonym człowiekiem i nie rozumiem tego. Indianin lubi cichy szum wiatru muskającego powierzchnię stawu i woń wiatru, oczyszczoną południowym deszczem lub nasyoną zapachem sosny. Powietrze jest dla czerwonego człowieka drogą, gdyż wszyscy nim oddychają — zwierzę, drzewo, człowiek — wszyscy oddychają tym samym powietrzem. Biały człowiek zdaje się nie zauważać powietrza, którym oddycha, jest jak człowiek umierający od wlewu dni i zubożniały na zaduch. Ale jeśli sprzedamy wam naszą ziemię, to nie wolno wam zapomnieć, że powietrze jest nam drogą — że powietrze swym duchem ożywia wszystko. Wiatr dał naszym ojcom pierwszy oddech i przyjmuje od nich ostatni. I wiatr musi dać także naszym dzieciom ducha życia. I jeśli sprzedamy wam naszą ziemię, musicie szanować ją jako ziemię szczególną i uświęconą; jako miejsce, w którym także biały człowiek czuje słodki zapach wiatru, nasycony wonią kwiecistych łąk.

Rozważmy wasze żądanie, i jeśli je przyjmujemy, to tylko pod jednym warunkiem. Biały człowiek musi traktować zwierzęta tej ziemi jak swoich braci. Jestem dziki i nie potrafię zrozumieć tego inaczej. Widziałem tysiące rozkładających się bawołów, pozostawionych przez białego człowieka — zastrzelonych z przejeżdżającego pociągu. Jestem dziki i nie mogę pojąć, dlaczego żelazny dymiący koń miałby być

ważniejszy niż bawół, którego my zabijamy tylko po to, by przeżyć. Czym jest człowiek bez zwierząt? Gdyby nie było zwierząt, umarłby też i człowiek z wielkiej samotności ducha. To, co dzisiaj spotyka zwierzęta — spotka wkrótce ludzi. Wszystko jest ze sobą powiązane.

Co dotknie ziemię, dotknie też synów tej ziemi. Uczcie wasze dzieci, że ziemia pod ich stopami to prochy naszych przodków. Aby szanowały tę ziemię, opowiadajcie im, że ziemia pełna jest dusz naszych przodków. Uczcie wasze dzieci, czego my uczymy nasze — że ziemia jest naszą matką. Co dotknie ziemię, dotknie także synów tej ziemi. Gdy człowiek pluje na ziemię, opluwa siebie samego. Wiemy jedno — ziemia nie należy do człowieka, lecz człowiek należy do ziemi — to wiemy. Wszystko jest ze sobą powiązane jak rodzina, którą łączy wspólna krew, wszystko jest powiązane ze sobą. Co dotknie ziemię, dotknie też synów tej ziemi. Człowiek nie utkał tkaniny życia, jest w niej tylko jednym z wątków. Cokolwiek uczynicie z tej tkaniny, będzie on w niej tylko jednym wątkiem. Cokolwiek uczynicie tej tkaninie, uczynicie sobie samym. Nie, dzień i noc nie mogą żyć razem. Nasi zmarli żyją nadal w słodkich rzekach ziemi, poruszając cichym krokiem wiosny i to ich dusza jest w wietrze poruszającym lustro wody w stawach.

Rozważmy żądanie białego człowieka. Ale mój lud pyta, czego właściwie chce biały człowiek? Jak można kupić niebo lub ciepło ziemi, lub chryzję antylopy? Jak możemy sprzedać wam to — i jak wy możecie to kupić? Czy potem będziecie mogli uczynić z ziemią, co zechcecie — tylko dlatego, że czerwony człowiek podpisał kawałek papieru i dał go białemu człowiekowi? Skoro nie posiadamy świętości powietrza i polyskiwania wody, jak możecie je od nas kupić? Czy możecie odkupić bawoły, gdy ostatni padnie zabity?

Rozważmy wasze życzenie. Wiemy, że jeśli nie sprzedamy wam naszej ziemi, to pewnie biały człowiek przyjdzie z bronią i weźmie sobie naszą ziemię. My jesteśmy dzicy. Biały człowiek posiada dziś władzę i sądzi, że jest Bogiem. Do którego należy ziemia. Jak człowiek może posiadać swą matkę?

Rozważmy wasze życzenie kupna naszej ziemi. Dzień i noc nie mogą żyć razem. Zastanówmy się, czy powinniśmy pójść do rezerwatu. Spokojnie będziemy żyć na uboczu. Nie jest ważne, gdzie spędzimy resztę naszych dni. W oczach naszych dzieci jesteśmy poniżeni i zwyciężeni. Nasi wojownicy zostali upokorzeni. Po kłękach spędzają dni w bezczynności, zatrzymując swe ciała słodkim pokarmem i mocnym napojem. Nie jest ważne, gdzie spędzimy resztę naszych dni. Nie jest ich już wiele. Jeszcze kilka godzin, kilka zim — a z wielkich plemion żyjących nigdyś na tych ziemiach, a dziś wędrujących małymi grupami po lasach, nie pozostanie ani jedno dziecko, aby zapłakać nad grobami ludu, dawniej tak silnego i pełnego nadziei jak wasz. Lecz diabeł miałby oplakiwać upadek mego ludu. Lud składa się z ludzi — nie inaczej. A ludzie przychodzą i od-

chodzą jak morskie fale. Nawet biały człowiek, którego Bóg przebywa z nim i rozmawia z nim jak przyjaciel z przyjacielem, nie może uniknąć wspólnego przeznaczenia. Może jednak jesteśmy — braćmi? Zobaczmy.

Wiemy to, co biały człowiek może pewnego dnia dopiero odkryje — naszym Bogiem jest ten sam Bóg. Sądzicie, że Go posiadacie — tak jak chcecie posiąść naszą ziemię — ale to jest niemożliwe. On jest Bogiem ludzi — zarówno czerwonych jak i białych. Ta ziemia jest Mu drogą — więc ranić ziemię to znaczy lekceważyć Jej Stworcę.

Biali także przemina, może szybciej niż wszystkie inne plemiona. Skazacie więc nadal swoje łóżka, a pewnej nocy udusicie się w nim. Ale w swoim upadku będziecie jaśnieć blaskiem — rozpaleni potęgą Boga, który przywiódł was do tego kraju i wybrał, byście panowali nad tą ziemią i nad czerwonym człowiekiem. Ten wybór jest dla nas zagadką. Gdy bawoły będą już pozabijane, dzikie konie ujarzmione, najdalsze zakątki lasu przesycone zapachem wielu ludzi, a widoki kwitnących wzgórz oszpecony mówiącymi drzewami — znikną gestwiny, znikną orły. Cóż znaczy pożegnanie z szybkim kucykiem, z polowaniem.

Koniec życia — i początek życia — i początek przeżycia. Bóg dał wam panowanie nad zwierzętami. Iasami, nad czerwonym człowiekiem — dla szczególnej przyczyny. Ta przyczyna jest dla nas zagadką. Może moglibyśmy to zrozumieć, gdybyśmy wiedzieli, o czym śni biały człowiek — jakie nadzieje wzbudza w swych dzieciach w długie zimowe wieczory — jakie obrazy rozpala w ich wyobraźni tak, że tęsknią za porankiem. Lecz my jesteśmy dzicy — marzenia białego człowieka są nam nieznane. A ponieważ nie są nam znane, pójdziemy własną drogą. Gdyż każdy ma prawo żyć, jak chce — i my to prawo szanujemy, nawet gdy człowiek ten różni się bardzo od swych braci. Nie wiele nas łączy.

Rozważmy wasze życzenie. Jeśli przystaniemy na nie, to tylko po to, aby zachować przynajmniej rezerwa, który nam obiecujecie. Może tam spędzimy nasze krótkie dni tak, jak sami zechcemy.

Gdy ostatni czerwony człowiek zniknie z tej ziemi, a jego pamięć będzie już tylko cieniem obłoku nad prerią, duch moich ojców był będzie nadal nad brzegami wód i w tych lasach. Gdy oni kochali tę ziemię tak, jak niemowlę kocha bicie serca swojej matki. Jeśli sprzedamy wam naszą ziemię, kochajcie ją tak, jak my ją kochaliśmy; troszczcie się o nią, jak my troszczyliśmy się o nią, przez pamięć tej ziemi zachowajcie ją taką, jaka jest, gdy ją zabieracie. I całą waszą siłą, waszym duchem, waszym sercem zachowajcie tę ziemię dla waszych dzieci i kochajcie ją — jak Bóg kocha nas wszystkich.

Gdyż jedno wiemy — naszym Bogiem jest ten sam Bóg. Ta ziemia jest dla Niego święta. I nawet biały człowiek nie uniknie wspólnego przeznaczenia. Może więc jednak jesteśmy — braćmi. Zobaczmy.

Ja wszystko oczywiście rozumiem; to zaostrenie walki klasowej jest, to deszcz, to śnieg, złośliwe meszki nad nami, a my tu w tajdze od świtu aż po świt.

Wy tutaj z „Iskry” rodmuchiwalicie płomień, dziękuję Wam, ja grzeję się już przy ognisku. Mam w oczach Was, jak w partyjnym kepi i w swym mundurze idziecie na defiladę, a my rąbiemy las i stalinowskie wióry, jak dawniej, na wszystkie strony leca.

Wczoraj chowaliśmy dwóch marksistów, lecz czerwień opończy nie spowila ich, jeden z nich był zwykłym odchylnicem, a drugi — popatrz — nieaktywny był!

Życie Wy tysiąc lat, towarzyszu Stalin, jakby nie było, ciężko tutaj mnie. Ale ja wiem — będzie wiele surówki i stał na głowę mieszkańca kraju.

(Autorem tekstu jest J. Aleszkowski)

W NASZ WĄSKI KRĄG NIE KAŻDY TRAFIĆ MOGŁ

W nasz wąski krąg nie każdy trafić mógł, ale pewnego razu — o przekięta dano! — przyprowadziłem go i powiedziałem: on ze mną jest, nalejmy mu, chłopaki.

On pił jak wszyscy i jakby bardzo rad, a my witaliśmy go jak brata.

Nazajutrz sprzedał nas wszystkich po kolei, ja pomyliłem się, wybaczenie mi, chłopaki.

Sądu nie pomnę już, nie miałem siły, a potem barak zimny jak mogiła, zda się, wokoło nieprzerwana noc, tym bardziej, że faktycznie tak i było.

Ja zachowałem chociaż resztkę sił, on myśli: stąd nie ma powrotu. Zbyt szybko jednak nas pochował, on mylił się, uwierzcie mi, chłopaki.

I dzień nadejdzie, ta noc to nie na zawsze, poproszę, kiedy przyjdzie dzień zapłaty: wszak ja go wtedy przyprowadziłem, i wy oddajcie mi go, chłopaki!

RADZIECKA PIESŃ WIELKANOCNA

Patrzę w niebo rozpromienionym wzrokiem, o świecie wyobraziłem sobie Tróję świętą. Dzień ten kocham jak Dzień Górnika, jak święto naszych Zbrojnych Sił. Dziś o talerze jajka się tłuka, a duszę radują dzwony. I proletariusze wszystkich krajów jednoczą się wokół paschalnego stołu.

Tam na Zachodzie malują jajka na niebiesko i zielono, my krasimy je tylko na czerwony kolor. Niosę je dumnie w rękach jak sztafndary, jak symbol naszych radosnych zwycięstw. Przy dźwiękach dzwonów, noży i widelców

laskocze w nozdrza zapach wielkanocnych bab. I dobrze w zwartym szyku butelek możesz zobaczyć nawet donosieli. I dokładnie w zwartym szyku butelek możesz zobaczyć mordy kapusiów.

Jak wspaniale w takiej porze roku prosto z cerkwi przyjsz na obiad do domu. Zapalmy opium narodu, a pop zapali nasze papierosy. Zapalmy opium narodu, a on zapali nasze papierosy.

Wszyscy ludzie są braćmi. Obejmę Chińczyka i prześię pozdrowienie Mao-Tse-Tungowi. I niech on mi swoje żółte przyśle jajka, a ja mu swoje czerwone oddam. Dostę tego, męka w niebie czystym. Nie po to Jezus zszedł z krzyża, powiem: ręce precz, imperialiści, od naszego radzieckiego Chrystusa!

Więc pocałujmy się, o przechodząca, i przebac mi we własnym interesie, do ludzi wreszcie stajemy się podobni. Chrystus zmarłychwstał! Zaisie zmarłychwstał! Da ludzi wreszcie stajemy się podobni, dalej, jeszcze raz: naprawdę zmarłychwstał!

Tłumaczyła: Aleksandra Kowal

Wybić się na niepodległość

Legiony

POW

Piłsudski (2)

Jan Lewandowski

ARESZTOWANIE Piłsudskiego przez Niemców (22 VII 1917 r.) pozbawiło obóz niepodległościowy ośrodka dyspozycyjnego. Dotychczasowym wykonawcą poleceń Komendanta przyszło samodzielnie stawić czoło zmieniającej się ciągle sytuacji. Funkcje kierownicze objął utworzony jeszcze przed aresztowaniem Piłsudskiego tajny Konwent Organizacji A. Kierownikiem prac politycznych Konwentu był Jędrzej Moraczewski, pracami wojskowymi kierował były dowódca I pułku piechoty Legionów, od jesieni 1917 r. Komendant Główny POW — Edward Rydz-Śmigły.

Represje niemieckie wobec POW i rozbiście Legionów miały wielorakie następstwa. Z jednej strony spowodowały przejściowe osłabienie działalności POW, przede wszystkim na terenie okupacji niemieckiej, z drugiej dostarczyły nowych kadr organizatorskich i instruktorskich w osobach byłych oficerów i podoficerów Legionów. Podjęto też

rozbudowę organizacji, obejmującej dotychczas tylko zabór rosyjski, na obszar Galicji, Rosji, Ukrainy, a od lutego 1918 r. na zabór pruski. W samej Kongresówce coraz większą rolę zaczęła odgrywać okupacja austriacka, gdzie warunki działania POW były znacznie łatwiejsze niż w okupacji niemieckiej. W lipcu 1917 r. w okolicach Piask, Fajslawic i Lopiennika odbyły się, pod firmą legalnego Towarzystwa „Piechur” manewry Okręgu VIII (Lublin) i VIIa (Zamość) z udziałem kilkuset powiazków. Byłoby to nie do pomyślenia pod okupacją niemiecką.

W lecie i jesieni 1917 r. internowani w Beniaminowie, Szczepiornie i Łomży legionści stali się przedmiotem zainteresowania szerokiego kręgu polskiego społeczeństwa. Zadania uwolnienia Komendanta i legionistów powtarzały się na wiecach, zgromadzeniach, w ulotkach i dokumentach programowych obozu niepodległościowego. Znamienne pod tym względem wydarzenia rozegrały się w Lublinie. Na 26 lipca 1917 r. stronnictwa niepodległościowe zwołały manifestację protestacyjną przeciw internowaniu Piłsudskiego i legionistów. Na wieść o tym austriackie Generalne Gubernatorstwo Wojskowe przeprowadziło rozmowy z przywódcami lubelskich niepodległościowców, m. in. z dr. Pawłem Jankowskim. Oświadczone, że nie jest zamiarem władz przeszkadzanie w odbyciu manifestacji, natomiast wystąpią one zdecydowanie przeciw atakom na obiekty urzędowe i budynki przedstawicielstwa niemieckiego. Późniejsza manifestacja odbyła się bez ekscesów, chociaż w przemówieniach atakowano oba państwa okupacyjne. 27 lipca dr. Paweł Jankowski podziękował c. i k. władzom okupacyjnym za tolerancyjną postawę.

Wkrótce także Austro-Węgry i ich władze okupacyjne stały się obiektem ataków zarówno obozu niepodległościowego, jak i jego dotychczasowych przeciwników. Powodem był traktat brzeski, o którym niżej. Z tym wydarzeniem wiązały się też losy pozostałej pod c. i k. komenda cześć Legionów — Polskiego Korpusu Posiłkowego. Jesienią 1917 r. korpus ten wszedł w skład 7 armii austriackiej. W lutym 1918 r. stał w odwodzie armii, około 20 km od linii frontu austriacko-rosyjskiego w okolicach Czerniowiec. Korpus obejmował w większości żołnierzy II Brygady Brygadierem był płk Józef Haller, 2 pułkiem dowodził ppłk Michał Zymierski, 3 pułkiem mjr Józef Zajac. 12 lutego 1918 r. dotarli do korpusu wiadomości o zawarciu w Brześciu przez państwa centralne traktatu pokojowego z Centralną Radą Ukraińską. Podlasie i Chełmszczyzna zostały przyznane państwu ukra-

ińskiemu. Pod Rarańcza (gdzie w czerwcu 1915 r. II Brygada stoczyła bitwę z wojskami rosyjskimi) w nocy z 15 na 16 lutego 1918 r. około 1500 żołnierzy 2 i 3 pułku przebiło się w walce z wojskami austriackimi na rosyjską stronę frontu. W marcu 1918 r. połączył się z 2 Korpusem Polskim w Rosji. Dla płk. Józefa Hallera droga do Niepodległej miała jeszcze prowadzić przez komendę w 2 Korpusie, walce z Niemcami; pod Kanłowem w maju 1918 r. i wreszcie przez dowództwo Armii Polska we Francji („Błękitna Armia”, „hallerczycy”), na której czele wrócił do kraju w 1919 r.

Po Rarańczy Polski Korpus Posiłkowy został rozwiązany. Większość jego żołnierzy znalazła się w austriackich obozach internowania, przede wszystkim w Huszt i Marmaros-Sziget (w Huszt zaczynała II Brygada swój szlak bojowy, a pod Marmaros-Sziget stoczyła 7 października 1914 r. swą pierwszą bitwę!). Kilkuset organizatorów i uczestników akcji z 15 na 16 lutego 1918 r., którzy nie zdołali się przebić, postawiono przed austriackim sądem. Przewlekający się proces zakończył się abolicją w październiku 1918 r.

Rarańcza była tylko jednym z epizodów w potężnej akcji protestacyjnej przeciw decyzjom brzeskim, jaka objęła ziemie polskie w drugiej połowie lutego 1918 r. W starciach z okupacyjnymi oddziałami austriackimi i niemieckimi padło ze strony polskiej ponad sto osób. Represje po Brześciu objęły także POW w okupacji austriackiej — rozwiązano Towarzystwo „Piechur”, aresztowanych organizatorów i uczestników akcji protestacyjnej osadzono m. in. na lubelskim Zamku i w obozie internowanów w Deblinie.

Wobec represji okupantów starano się przekształcić czynne wystąpienia antyokupacyjne w długofalową akcję oboru, dobrze zorganizowaną i obliczoną na zdecydowane wystąpienie w momencie załamania państw centralnych. Plan taki przyjął Konwent na naradzie w Krakowie w końcu kwietnia lub na początku maja 1918 r., zakładając, że najpierw nastąpi rozkład monarchii habsburskiej, a po nim załamanie Niemiec. Jako możliwy termin katastrofy państw centralnych przyjmowano jesień 1918 r. Okupacji austriackiej wyznaczono rolę bazy operacyjnej dla działań na terenie okupacji niemieckiej.

W przełomowych dniach października i listopada 1918 r. powiakiem i legionistom, tym w szereżach Polnischer Wehrmacht i tym niedawno zwolnionym z Łomży, Huszt czy Marmaros-Sziget, przypadła w udziale jedna z głównych ról w wyzwoleniu ziem polskich spod austriackiego i nie-

Relacja uczestnika zdarzeń

Aresztowanie Berii

Jak informuje korespondent PAP w Moskwie, Sławomir Popowski — „Krasnaja Zwiezda” opublikowała trzyczęściowy artykuł o aresztowaniu Berii, oparty na wspomnieniach generała rezerwy Iwana Grigoriewicza Zuba, bezpośredniego uczestnika wydarzeń, jakie rozegrały się na Kremlu podczas posiedzenia Prezydium KC KPZR w 1953 roku. Zub był wtedy pułkownikiem.

WEDŁUG relacji I. Zuba, 26 czerwca 1953 r., gdy przebywał on na swojej dacie, przyjechał do niego niespodziewanie adiutant ministra obrony ZSRR N. Bulganina z poleceniem niezwłocznego stawienia się u ministra. Postawiono przy tym warunek, iż ma bezwzględnie zabrać ze sobą broń osobistą, ale bez kabury, w kieszeni.

Bulganin rzeczywiście oczekiwał na przybycie pułkownika. Podczas krótkiej

z nim rozmowy sprawdził, czy I. Zub zabrał ze sobą broń oraz upewnił się, czy gotów jest wykonać zadanie państwowe o szczególnej wadze. Zaraz potem Iwan Grigoriewicz poproszony został o przejście do innej sali, do której zaczęli przychodzić inni wojskowi: dowódca Moskiewskiego Okręgu Obrony Przeciwlotniczej — generał K. Moskalkenko, ówczesny zastępca dowódcy wojsk Okręgu Moskiewskiego — generał P. Baticki, szef Sztabu Moskiewskiego Okręgu Obrony Przeciwlotniczej — generał A. Baksow oraz adiutant K. Moskalkenko — podpułkownik W. Jufieriew. Każdy z nich był po krót-

kiej rozmowie u Bulganina. W oczekiwaniu na zadanie, o którego charakterze nie jeszcze nie wiadziło — żartowano, rozmawiano. Kilkakrotnie — jak wspomina I. Zub — do ministra obrony wchodził jego pierwszy zastępca, marszałek Związku Radzieckiego Gieorgij Zukow. On jeden ze wszystkich zdradzał zdenerwowanie.

W tym czasie na Kremlu, w dawnym gabinecie Stalina, odbywało się posiedzenie Prezydium KC KPZR. Po raz pierwszy od wielu lat — relacjonuje I. Zub — członkowie prezydium, którzy nie tylko widzieli, ale i na własnej skórze odczuli skutki wszechwładzy Berii, zjednoczyli się na tyle, aby owarcie wystąpić przeciwko niemu. Wtedy jeszcze nie mówiło się o kulcie jednostki, a w trzy miesiące po śmierci Stalina dla wszystkich pozostał on wielkim i bezgrzesznym.

Oczekujących przeprowadzono do pokoju wypoczynkowego, znajdującego się koło gabinetu, gdzie odbywało się posiedzenie Prezydium KC. Po pewnym czasie przyszli do nich N. Bulganin i N. Chruszczow. Dopiero teraz powiedziano im, że chodzi o aresztowanie Berii. Wyjaśniono plan działania i podano sygnał, na który należało przystąpić do wykonania zadania. Chruszczow na zakończenie przypomniał — co i tak wszyscy wiedzieli — że w wypadku załamania się operacji cała szóstka uznana zostanie za wrogów narodu.

Do gabinetu Stalina prowadziły trzy wejścia. Każde z nich trzeba było obstać, aby umożliwić ucieczkę. Aresztujący mieli wejść na dzwonek Malenkowa, który przewodniczył posiedzeniu...

Kiedy rozległ się umówiony sygnał, do gabinetu szybko wkroczyła cała szóstka. Jednym wejściem wszedł Baticki z Zubem, drugim, z korytarza — Baksow i Jufieriew, a tym od strony pokoju wypoczynkowego — Zukow i Moskalkenko. W gabinecie na miejscu prezydiarstwa siedział Malenkow. Z boku, za długim stołem siedzieli: Chruszczow, Bulganin i inni członkowie prezydium. Z drugiej strony stołu rząd siedzących zaczynał właśnie Beria. Akurat za jego plecami znajdowało się jedno z wejść...

Sam moment aresztowania wyglądał następująco: kiedy do gabinetu wkroczyła szóstka wyższych oficerów, niektórzy członkowie prezydium powstał ze swoich miejsc. Zukow wszystkich uspokoił i kazał usiąść. Z trzech stron otoczono Berię. Kiedy sytuacja już się uspokoiła, Malenkow powiedział: „Towarzysze, proponuję jeszcze raz rozpatrzyć sprawę Berii”. Gdy wszyscy się zgodzili, Malenkow kontynuował: „Beria jest takim aferzystą, jest tak niebezpieczny, że diabeł jeden wie co może jeszcze narobić. Dlatego — dodaj — proponuję niezwłocznie go aresztować”. Wszyscy głosowali „za”. W tym czasie Beria, na którego skierowane były pistolety aresztujących go, siedział nie-

pałeczkę panowania. Doczekano się momentu rozpadu monarchii austro-węgierskiej i... Niemiec ze w listopadzie 1918 r. można było przeżywać euforie wolności bez czestych w takich okolicznościach masowych uroczystości pogrzebowych. Legioniści i powiacy nie tylko wyzwalali w listopadzie 1918 r. Lublin i Warszawę, ale jednocześnie torowali Piłsudskiemu drogę do władzy. Jeśli nawet ta władza leżała na ulicy to trzeba było dysponować siłą aby władze podjąć i utrzymać. Tym atutem w listopadzie 1918 r. dysponował tylko obóz niepodległościowy. To jego przedstawiciele utworzyli 7 listopada 1918 r. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej w Lublinie. Oparcie o broń tego rządu stanowiła właśnie POW.

Uwolniony Piłsudski przybył z Magdeburga do Warszawy 10 listopada 1918 r. W dniu następnym powierzył Daszyńskiemu misję utworzenia nowego rządu, tym razem z siedzibą w Warszawie. W wolnej Warszawie Piłsudski wystąpił w charakterze faktycznego naczelnika państwa; państwa jeszcze bez określonych granic i ustroju, ale już z rządem wolnym od dławiającej obcej przemocy. Zaczynał się samotnie, cel jak stawił Komendant przed Legionami i POW.

Używając ogromnego skrótów myślowego, można powiedzieć, że wyruszając 6 sierpnia 1914 r. z krakowskich Oleandrów, dołari Piłsudski 11 listopada 1918 r. do Warszawy Droga, która prowadziła przez Anielin, Krzywoploty, Łowczówek, Rafajłowa, Rekić, Jasków, Kosiuchnowkę i Rarańce, a także Magdeburg, Szczepiornę i Marmaros-Sziget. Była to droga nie tylko przez pola bitew, ale także poprzez kryzysy i załamania, ataki przeciwników politycznych. Towarzyszyła legionistom nie tylko śmierć na polach bitew, ale i rozłamy we własnych szeregach, powodowane najczęściej różnym rozumieniem tego samego, najświętszego celu i obowiązku. Listopadowy finał poprzedziły lata niesłychanie trudne, wystawiające na ciężkie próby przede wszystkim psychikę młodych ochotników w szarych mundurach.

Z jednej strony — polski, strzelecki mundur i orzełek na czapce, z drugiej — c. i k. Komenda i austriacka przysięga. Polskie wojsko, za którym nie było polskiego państwa czy chociażby polskiego rządu. Nawiazanie do tradycji polskich powstań i konspiracji — ale w każdym polskim powstaniu stał za żołnierzem rząd narodowy. Walka przeciw jednemu zaborecy u boku i pod komenda drugiego... C. i k. „towarzysze broni”, którzy tyle razy pozostawiali legionowe formacje z odsonietymi skrzydłami, albo nagle cofając się albo całymi pułkami poddając się Rosjanom, bywało, że i z orkiestra.

A przeciwnik... rosyjska piechota, a w jej burznych szynelach — tyłu Polaków, że w Kongresówce jeszcze w 1916 r. mówiono o armii carskiej jako „naszych”. Kiedy w Wigilię Bożego Narodzenia 1914 r. pod Łowczówkiem żołnierze I Brygady, po zdobyciu w zażartym nocnym boju rosyjskich oko-

łów i po ustaniu strzelaniny, zaintonowali kedyś, podchwycili je z drugiej strony frontu przeciwnicy. „Cicha noc, święta noc”.

Samo skrótove przedstawienie faktów nie jest w stanie oddać całej złożoności legionowej i powiackiej „drogi do Niepodległości”, jednej tylko z zawitych polskich dróg z lat 1914—1918. Poezja tamtych czasów, okolicznościowa piosenka legionowa odwołują się do sytuacji, obaw i nadziei; a głównie nastrojów antycarskich Józef Korczak, lubelski skaut potem powiak i legionista, pisał w okopach:

Czy Ty wyrośniesz z tego morza krwi,
Które po ziemi wzdłuż i w szerz bez końca
Tak się rozlało, jak purpura słońca
O rannym świetle spoza sinej mgły —
Czy Ty wyrośniesz ze łzy która leci
W oczach milionów bólem płomieniąca,
Cisza wszechświata — a gdy się gorąca
Stoczy — to ziemia przerażeniem drży?
Czy Ty wyrośniesz ze zgłiszcz, z tuni pożarnych,
Gdzie milczenie odmawia paclerze,
Polsko! Ty Matko snów Jutra mooarnych
Ja... wierze.

Ta sama wiara, ale i determinacja przebijają z pieśnią „Naprzód drużyno strzelecka!”:

Czy umrzeć przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć!

Ten właśnie fragment pieśni uległ po kilku miesiącach znamiennej przeróbce:

Jak umrzeć nam przyjdzie, to w boju,
Nie w tajgach Sybiru nam zgnieć.

To Legiony dawały szansę otwartej walki; z wrogiem, wyściga z dławiającego mroku konspiracji, a chociażby szansę umierania wśród swoich, na własnej ziemi z bronią w reku...

Droga Legionów od początku wojny prowadziła do Warszawy. Jest Warszawa w piosence o pierwszej kadrowej jest też w innej:

Warczą karabiny i dzwonią pałasze
Już Komendant wyszedł w pole, a z nim chłopcy
nasze,
Wodzu, Wodzu miły, przewodź świętej sprawie
I każ trabić trębaczowi, gdy staniesz w Warszawie,
Wtedy wszystkie dzwony królewskie zadzwonią,
A kolumnie Zygmutowskiej Tetry się pokłonią,
Gdy staniesz w Warszawie, Wodzu, strzeleu szary,
Podepez nogą z ostrogami butę carskiej mary,
Gdy staniesz w Warszawie, tym królewskim
grodzie,

To poleci na rozprawę, co jest sił w narodzie,
Wieść Wisłą poleci, falami jasnemi,
Ze nie będzie już Moskali na piastowskiej ziemi.

Nie tylko nadzieja towarzyszyła legionistom. Sytuacja wojska bez państwa i rządu, pod obcą komendą, oddaje to drastyczna strofa:

Bo my, żołnierze, to jak psy,
Bezdomni my włóczędzy,
Gniebł nas Moskał, gryzą wazy
Za Austrii skrawek nędzy.

To rozpolitykowane, patriotyczne, ochotnicze wojsko, lekceważone przez „sojuszników” (Austriacy), nie zawsze rozumiane przez swoich skłócone prawie z całym światem, musiały ukształtować własny, specyficzny cel i postawy swoich żołnierzy.

Jedynym stałym punktem oparcia stał się On — Obywatel Komendant. Dziadek Wódz. Wiara w słuszność jego decyzji zwalniała od konieczności analizowania skomplikowanych, zmieniających się sytuacji i racji, pozwalała rozstrzygać sprawy prosto, po żołniersku: Komendant ma rację! Jego rozkaz jest rozkazywać — żołnierską słuchać. Słuchać w Legionach i w POW.

Do legendy konspiratora, zesłańca, więźnia caratu, bojowca rewolucji 1905—1907 r. doświadczonego nowego karty. Twórca polskiego czynu zbrojnego i więźnia Magdeburga A wszakże i wielu z nich miało za sobą, jeśli nie rewolucje 1905 r., to co najmniej przedwojenne konspiracje udział w formacjach strzeleckich karte legionowa i powiacką. Szary strzelecki mundur i poczucie obowiązku wobec Sprawy której uosobieniem był Komendant.

Poczucie więzi z powstańcą, romantyczna i samotnicza tradycja. Wszak i onj mieli swola „noc listopadowa” kiedy w sierpniu 1914 r. w Kielcach zamknięto przed nimi drzwi i okiennice a biskup Łosiński nie pozwolił strzeleckim kapelanom na odprawienie mszy w kieleckiej katedrze. Stał, choć nie tylko, romantyczna samotność i determinacja: „Nie chcemy już od was uznania” i „Na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos”.

A przecież żołnierz Legionów i POW był bardziej, niż się zdawało, związany z królem. Obok inteligentnej kadry wypelniali szeregi ochotnicy ze wsi, miast i miasteczek Kongresówki i Galicji, a lubelskie kompanie POW miały chłopski charakter. Oparcie polityczne dla Legionów i POW stanowiły przede wszystkim Polska Partia Socjalistyczna-Frakcja Rewolucyjna i Polskie Stronnictwo Ludowe, najsilniejsze partie w robotniczym i wiejskim środowisku Kongresówki. Mimo różnic między poszczególnymi brygadami, w nich właśnie zacierały się różnice międzyzaborowe i wznaniowe. Na cmentarzu żołnierzy 4 pułku piechoty Legionów w Jastkowie wśród kilkudziesięciu krzyży jest płyta nagrobna legionisty wyznania mojżeszowego.

Legiony Polskie. Nawiazanie do tradycji i przesłanie dla następnych pokoleń. Tak jak w wierszu „Do moich synów” Jerzego Żuławskiego, legionisty, poety, dramaturga i powieściopisarza, zmarłego w sierpniu 1915 r. w wojskowym szpitalu:

Synkowie moji, poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek, a ojciec mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z Legionami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i błzyzn
Do naszej wolnej Ojczyzny.
Synkowie moji, da nam to Bóg,
Ze spadną wreszcie kajdany z nóg
I nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawa się stanie, co dziadek śnił,
Szczęściem zakwitnie, krwią wieków tyżny,
Łan naszej wolnej Ojczyzny!
Synkowie moji, lecz gdyby Pan
Nie dał zejść zorzy z krwi naszych ran,
To jeszcze w waszej pierś jest krew
Na nowy świętej Wolności ślew:
I wy półdziele, pomni spuścizny,
Na bój dla naszej Ojczyzny.

ruchomo. Po słowach Malenkowa, Żukow wydał rozkaz: „Wstać i iść z nami”.

Konwojowany przez sześciu wojskowych. Beria został przeprowadzony do pokoju wypoczynkowego. Szybko przyszedł do siebie po pierwszym szoku, znakomicie rozumiejąc, że zniżyć sytuację może tylko on sam, że został oderwany od realnej władzy, realnej siły, dosłownie na kilka metrów, tyle, że wynosiła odległość do najbliższego telefonu.

Kiedy Beria został przeprowadzony do pokoju — wspomina I. Zub — podjął pierwszą próbę zapanowania nad sytuacją. Konwojującym go wydał miły, ale władczy głos polecenie, że mogą usiąść Szybko zareagował na to Żukow, który kazał mu zamilknąć, brzykominając, że nie on tu rozkazuje. Beria znając dokładnie rozkład pomieszczeń, prosił także o pozwolenie pójścia do toalety. Gotów był nawet wywołać strzelaninę, przyjąc na siebie ogień — zrobić wszystko, co można, aby zaalarmować dotychczasową ochronę Kremla, która właśnie jemu była podporządkowana. Aby pozabawić Berię możliwości szybkiego poruszania się, wykonywania jakichś niespodziewanych ruchów, zastosowano proste rozwiązanie: poobcinano mu... wszystkie guziki u spodni. Od tego momentu — jak wynika z relacji Iwana Grigoriewicza — poruszając się, musiał on obierać rękami przytrzymywać spodnie...

Iwan Zub, jako szef Zarządu Politycznego i znający ludzi, otrzymał zadanie sporządzenia listy 50 zaufanych i pewnych generałów i oficerów z obrony przeciwlotniczej. W tym miejscu warto więc wyjaśnić, iż organizatorzy aresztowania Berii mogli liczyć tylko na dwie siły: żołnierzy Moskiewskiego Okręgu Wojskowego oraz Moskiewskiego Okręgu Obrony Przeciwlotniczej. Wojsk obrony wewnętrznej bawiano się, gdyż dowodził nimi wówczas generał P. Arletemow, który w swoim czasie piastował odpowiedzialne stanowisko w NKWD. Poza tym warto

dodać, iż w tym czasie w Moskwie znajdowały się dwie dywizje Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ochrona Kremla należała całkowicie do ludzi podporządkowanych Berii i m. in. dlatego cała grupa tych, którzy mieli aresztować Berię, została przywieziona na Kreml w samochodach Bułganina i pod pretekstem wezwania na naradę.

Również pod pozorem udziału w naradzie zostali przywiezieni na Kreml oficerowie z listy wytypowanej przez I. Zuba. Gładko dokonano zmiany wart i ochrony Kremlu. Kiedy po wielu godzinach wywożono Berię z Kremla, bram pilnowali już oficerowie z moskiewskich jednostek obrony przeciwlotniczej.

Całą operację do określonego momentu trzeba było utrzymać w ścisłej tajemnicy. Dlatego też nawet mało kto z tych, którzy siedzieli w samochodzie wywożącym Berię z Kremla przez Bramę Spasską, wiedział dokąd jedzie. Samochód tymczasem pojechał w kierunku Lefortowa, ale bynajmniej nie tam, gdzie znajduje się wzięlenie, Beria — wspomina Iwan Grigoriewicz — w żaden sposób nie mógł nawet przypuszczać, że pierwszym miejscem jego izolacji stanie się zwyczajny areszt w jednostce wojskowej. Nie mogli tego podejrzewać nawet ludzie werni Berii. Tymczasem w jednej z cel takiego aresztu spędził on równo tydzień. Dopiero później został przewieziony do podziemnych pomieszczeń Sztabu Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Podziemia te — relacjonuje I. Zub — znajdowały się pod sadem jabłoniowym i były znakomicie wyposażone. Na dwóch piętrach pod ziemią były urządzone gabinety, sala posiedzeń itp. Na rozprawie sądowej Beria przyznał, iż nawet nie podejrzewał, że wojsko dysponuje w Moskwie takimi pomieszczeniami.

Do grupy aresztującej dołączono tymczasem generała A. Gletmana. Zajął ona duży gabinet, a Berii przydzielono specjalne pomieszczenie. Zadaniem szóstki w dalszym ciągu było pilnowanie,

nie, aby Beria nie uciekł, nie kontaktował się ze światem zewnętrznym oraz chronienie jego życia.

I. Zub opowiada, jak na następny dzień po przewiezieniu Berii przyjechał do Lefortowa pierwszy wiceminister spraw wewnętrznych — generał I. Sierow. Generał Moskalkenko polecił wówczas Zubowi spotkać się z nim przy wejściu i kazał zabrać ze sobą broń. Razem z oficerem wojsk obrony przeciwlotniczej podeszli do samochodu, w którym siedział Sierow. Zażądał on otwarcia bramy Zub kazał mu jednak wysiąść z samochodu i oddać broń. Przepychanka trwała dość długo. W końcu jednak Sierow ustąpił i został doprowadzony do Moskalkenki. Sierow miał przeprowadzić przesłuchanie Berii w specjalnie do tego celu przygotowanym pomieszczeniu. W żaden sposób Sierow nie chciał się jednak zgodzić, aby przy przesłuchaniu obecni byli Baticki i Zub — jak rozkazał Moskalkenko. W tej sprawie dzwonił nawet do Chruszczowa. Rozmawiał on z Sierowem, który zaraz po tej rozmowie odjechał, nie spotkawszy się z aresztowanym.

W 10 dni po aresztowaniu rozpoczęło się oficjalne śledztwo w sprawie Berii. Prowadzenie jego powierzono R. Rudnienice, który w tym czasie pełnił obowiązki prokuratora USRR. Iwan Zub obecny był na wszystkich przesłuchaniach, które ciągnęły się aż do grudnia. Akta sprawy liczyły 50 tomów.

Na początku przesłuchań Beria do niczego się nie przyniwał. Żądał uwolnienia i zaprzestania śledztwa. Cały czas w największym napięciu trzymał ochronę. Tak np. kiedy jedna z pułkowników przyniosła jemu jedzenie — rzucił w niego taboretem.

Któregoś razu Beria poprosił o pióro i papier, postanowiwszy napisać list do Malenkowa, z którym kiedyś utrzymywał przyjacielskie kontakty. Pisał w obecności Zuba i stąd ten znał treść tego listu. Beria prosił, aby go uwol-

nić i wyjaśniał różne fakty, chcąc siebie wybielić.

Uchylając się dale od składania zeznań, Beria ogłosił głodówkę, która trwała 11 dni. Przy tego zdrowiu — niewiele mogła mu ona zaszkodzić.

Ostatecznie aresztowany zgodził się zeznawać. Kiedy śledztwo było zakończone, pozostawało mu już tylko podpisać swoje zeznania. Wówczas postąpił tak, jak wcześniej jego ofiary: odmówił złożenia podpisu. Na koniec jednak ustąpił. Zeznania składał wtedy, kiedy przedstawiano mu niezbite dowody i dokumenty. Nie zabrakło ich, chociaż przez cały czas śledztwa zwolennicy Berii robili wszystko, aby zastrzeżone ślady i uniemożliwić dalsze domaskowanie zbrodni tego człowieka...

18 grudnia 1953 roku rozpoczął się sąd nad Berią. Sprawę rozpatrywał specjalny zespół sędziowski Sądu Najwyższego ZSRR. Wraz z Berią na ławie oskarżonych zasiadli jego najbliżsi współpracownicy: L. Włodzimierski, S. Goglidze, W. Diekanosow, B. Kobulow, W. Mierkulow i P. Mieszik. Przewodniczącym składu sędziowskiego był marszałek I. Koniew.

Sąd odbywał się przy drzwiach zamkniętych, dlatego też, oprócz przedstawicieli aresztowanych, osób postronnych nie było. Przewodniczący zadawał pytania, a oskarżeni odpowiadali. Na procesie nie wymieniano nazwiska Stalina, a Beria, powołując się na jego polecenia, używał określenia „Instancja”. Kilka razy zresztą główny oskarżony tracił panowanie nad sobą i zaczynał twierdzić, że jest niewinny i że jedynie wykonywał polecenia „Instancji”. Sama wyrok przyjął jednak spokojnie. Miał on pół roku na to, aby zrozumieć, co się stało, i wiedział, jaką cenę sam będzie musiał zapłacić...

Pazurami, iż

Marek Pietrzela

BO NAJGORSZA jest cholerna cisza, rżnie człowieka w gardle. Trzęsą się ręce i wzrok skacze z szafki na firankę. Jak wtedy żyć, myśleć, patrzeć, bo gdy. A kiedy wreszcie telewizor gra, to już całkiem jest wspaniale, brachu, nawet wykwinnie, skoro kolory, niby rasowy paw, wysypują się na ekran i już mamy swój cudowny, jakby nawet lepszy dom, świat przed mordą cały twój. Na „rubinie” może nawet coś pięknego stać, choćby różowy zajaczek, albo i wtedy nie ma tej groźnej, pieprzonej ciszy, która przecież trzeszczy w uszach, wiruje i człowieka burzy do chwytania jakiegoś szkła i rozpieprzenia z wszystkich nerwów. Niechże więc gra, dopóki.

A wtedy nawet obok może siedzieć napuszczony jakiś buc i trzymać w ręku gazety, psia jego macocha, dzieńtelmenio udaje z całych sił, że ją czyta, a w rzeczywistości figusa, bo on sobie w najlepsze zerka na boki i filuje, coś się dzieje, uszy nadstawia i kombinuje, jakby tu ewentualnie coś wysondować. Takiego to bym. Ja tam nie jestem jakiś w ciemnej i kapeluszy bity, życie się poznało, więc gościa od razu rozszyfruję i niby nie, gram obojętnie, co w gruncie rzeczy swoje wie i w razie czego nawet.

Do ruchu to ja się nadaję, tak szczerze powiem, giga super. Mam już taki dryg, że gdybym chciał, to nawet z kamienia, szkła i piasku bym wycisnął szmal. Niech tylko w łapę wpadnie jakaś okazja, a już nie daruję, jak miłe mi życie, nie przepuszczę, rwę do przodu jak postrzelony ogier, rzucam grzywą na boki, kopytami walę na oślep, chrapy nadstawiam, bo. Pieniących, salata, papiery syją się jak płaty śniegu, laskoczą miłe paluchy a tu frajer-batwan tylko czeka, aby go wydudkać, kalkulator, wideo mu podsunąć, to jedyna szansa i.

Gdy się coś da zachachnąć, to wcale nie będę się szczypać, tylko od razu zedrę, w zwiłkę i do torby, albo do kieszeni. Trzeba rwać, co w zasięgu wzroku, bo życie to nie lizaczek, ani. Człowiek — brzmi dumnie, ale życie jest dzunglą, a nie rozkoszonym rajem, zaś Bozia po to stworzyła grabie i pazury, żeby do mnie ciągnęły. Kiedy wszędzie marnują się miliardy, ważne, co drapnąć i zaciągnę do swojej chałupy, kawalek dobra, które i tak mogło się zniszczyć, ani. Czyż to nie jest walka z marnotrawstwem? Przecież to nie jest jakieś zło, tylko może nawet coś lepszego, albowiem.

Haka znajdę na tych, co trzymają mnie poniżej swoich kolan, bo nie ma przeprosić, każdy posiada jakieś boki i luz, tylko trzeba je odkryć, o nich pamiętać i ostro przyciskać. A w razie czego facio strugający cwaniaczka nie ma szans, ani. Wtedy kupujemy gorzałę, spijamy stojaków i niech za grosze natłukają gościa w ciemnym przejściu a głównie niechże przypomną mu fizycznie, jaki powinien być człowiek i co on mi przecież.

Głównie bajery się przecież liczą, bo jak idziesz do pracy odpleprzony, elegancik, szyk, mucha nie siada pewex w oczach, a nawet lepiej niż żurnal. Tak jakbyś prosto z Turcji mocno dużo ciuchów ściągnął, pazurki wyczyszczone, laluf, kulturka, iż.

Gościunio ze mnie i talenciak, gdy idę, sypnę coś z francuskiego i angielskiego, naplotę balaków, to wtedy wiadomo, że inaczej mnie traktują — krzeselko, proszę, czym mogę służyć, herbatkę czy kawę — tłuszczoch mnie zagaduje, w jego ślepiach lata błysk, dobrze wiem, o co chodzi. Jestem kimś oraz. Czuję wtedy namacalnie, że sprawa musi być załatwiona. I nie ma siłnych, bo.

Mam do ludzi serce, nie jestem psem, hieną czy prostym, zwykłym bydlęciem. Szpenio ze mnie, wiem, czego oni chcą, nawet na oko ocenię, ile potrzebują i odróżnię fletucha od świntucha. Z daleka widzę, do czego śmieją im się mordy, i sprytnie podsuwam, niech łapią, a może będą też namleć o. Wyczuwam, ile każdy potrzebuje i jak wiele potrafi zredzić z obcego budy. To nie jest takie trudne, łatwo wtedy wchodzić do paczki i wtedy już jesteś figurą, bo w silnej kupie olbrzymia szansa na.

Brachu! Wódeczka jak wodospad leje się w gardzieliśko, grzeje jak ekstra centralne, niby w Ameryce sobie drinka strzelasz z żytniej, butla za butlą, fiacha za gorzała, a wszystko to fundowane, mówi się: gratis, jak ja... cholera, tak że nie za to nie bullisz, tylko pyska nadstawiasz i trzask — lup i chlup, iżby. To szczyt, a nawet coś wyżej niż Himalaje całego życia i rośniesz, gdy widzisz pelznice w bloku pierdoty, co to koniec z końcem ledwie łapia i ciągle, bidule, czekają na wypłatkę, lecą do domu, aby.

Najwznych nie sieją, trzeba ich więc wydoić aż do ostatniego szopenika, a może waszyngtona, kłedyż. Skoro lubi papiery, to jeszcze leolej, ważne, aby go wprowadzić w

dobłą bramę, namotać o strachu i wcisnąć kawalek makulatury, sprytnie dać mocny głos, że już idzie patrol, a wkrótce salata nasza, zaś klient szuka wiatru w polu. Może sobie on nawet

Babów to już kupę zaliczyłem, Tuzinami, mówię ci, szły, nie byle jakie, a nawet miski, uszczelki, rozumiesz, potrzebują swego, a nawet. Ma się przecież dryg i wie, jak na takim instrumencie grać. Chwyty to, niby gitarowe, są opanowane na super, najpierw uwerturka, cichosza, tere-ferre, albo może i. Później ciągle szybciej, w pośpiechu, express, torpedę, raptem już. Jak dziewczuchę kotłujesz, niebo-raj, w gębie słodka ślina. I abarot love, to spore, najlepsze kobitki cysate, a patrzą chabrowo, kiedy od nich odjeżdżasz ropniakiem, odgryzasz cygare i wypluwasz je daleko przed.

Ech, czy ktoś by kiedyś w naszej wsi się spodziewał, że ja taki ważniak, figura niby będę w pełnej pyszności na tym stolku. Alegancko się ustawiłem i całkiem do rzeczy, powiem na każdą sprawę, co się w świecie dzieje, rozbrojenie i odnowa, przebudowa, tamto, w te i nazad. Zawsze jak kocisko na cztery lekko zgięte łapy ładuję, bo spadochroniarz ze mnie doskonały — mięciutko, elastycznie, za przeproszeniem, w pneumatykach, adidassach, z buzią pachnącą „brutalem” i wygoloną jak lustro brodą, a jaki fryz! Orientację swoją posiadam, taktykę i strategię, owszem wyczuwam kierunki, ogólnie nawet jak wiatr wieje i ciut unoszę się z powiewem, nie za mocno, bo.



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

Fajnie jest ogólnie, innym się ślimaczy, a mi tu jak u Pana B. za piecem, kaloryferem, grzejnikiem nawet, przepraszam najmocniej. Ja tam do żadnej polityki się nie mieszam, dokładnie swoje wiem, kto swój i jak obcego czuć. Nonia mam jak fujare, bo życie mnie sporo nauczyło, encyklopedię czytałem nawet, jedynekę znać się, dwa razy, a może. Ponieważ chcę tylko dobrze przeciąpać, a przecież wiem, że jak nie będę ludziom w dupę wchodzić z kilogramami wazeliny, komu należy kieszzenie i łapy wypychać pieniachami, to daleko nie zajadę. Na wszelki wypadek w wielu miejscach wolę kiwać głową, głupola rżnąć, z ukosa, spod brwi kontrolować sytuację i zanim ważniaczysko coś bardzo ważnego powie, już mu przytaknę, niby. Niech mnie nawet uważa za ograniczonego i ciesz się ze swej wyższości, ale przecież na wierzchu będzie moje, bo w końcu pomyśli, iż jestem sobie dobry, niegroźny, miły cymbalik i poprze, abym wyskoczył gdzieś, ponleś mnie, że. A jak złapię lot, spojrzę na niego z góry, persknę śmiechem, rechotem, ponad całe bagno i.

KOZYRA, przeczytałem jeden ze starszych numerów nieodwołanego RADARU, a w nim Wasz anon-propozycję. Bardzo się ucieszyłem i pomyślałem, że nie zaszkodzi mi na pewno, gdy do Was napiszę. Lublin to dla mnie niesamowite miasto. Mam tam wprawdzie tylko kilku znajomych próbujących swych, wątpliwych jeszcze [...] sił w literaturze. I w zasadzie tylko ta skłonność w jakiś sposób nas łączy. Mam świadomość własnej niedoskonałości i wyważania otwartych — bardzo dawno temu — drzwi. [...] A jednak piszę. To nie jest strach ani idiotyczne przyzwyczajenie, nie jest to żadna psychoterapia ani próba samookreślenia. Nie spisuję siebie. To gra zbyt często uprawiana. Bynajmniej nie należę do tych wszystkich, którzy ulegają często pustemu, bałwochwalcemu zachytwi. Mam świadomość, że nasza „epoka” nie pozostawi, prócz kilku wątpliwych splotów myśli, „renesansowego wizerunku”. To raczej przypomina okres przejściowy. Nasze poglądy dopiero się kształtują. Jeśli ukształtuje je czas i doświadczenie, nie możemy im nie wierzyć. Wiem, że w niektórych moich sądach odnajdziecie coś z taniego „pouczania”, wygłaszania zbyt oczywistych prawd. Staram się jednak to eliminować. [...] Mimo tego wszystkiego są dni, tak jak dzisiejszy, że odnajduję zagubioną i mocno przykurzoną nadzieję. [...] Zdecydowałem się ponownie spróbować. Po raz kolejny, tym razem w grupie poetyckiej CIRCULUS VITIOSUS (łac. Błądne Koło). Zorganizowaliśmy niekonwencjonalne akcje twórcze, będące syntezą światła i cienia, ruchu i spoczynku, dźwięku i ciszy, słów i milczenia [...] w moim dość obszernym mieszkaniu, z którego prawie nie wychodzę. Czuję potrzebę izolacji. Piszę wiersze, które do Was posyłam [...] Wierzę w ten ślad od Was. Wierzę i czekam. Hej!

Tytus K. Rolski

PS. Urodziłem się tylko 16 lat temu. Uczę się w liceum ogólnokształcącym w Gdańsku.

Tytus K. Rolski

Były i we mnie burze
pewnie trudno ci uwierzyć

Pozostał cień drzewa
a teraz już tylko pień

Nastał czas odejścia
nie żadne tam echo

Niemoc
piach
który chcieli zagarnąć
dzłurawe dłonie

Poeci dawno
odeszli jesteście
zbiorem pustym

Na ścianie ktoś
namalował serce
i wolność Pamiętasz

Uczucia — tynk
pospadały ze szkieletów

My zostaliśmy —
szczęśliwi Judasze

Rozmawiam z tobą
śmiertelnie poważnie

Odniesz dzban
namaść klejem
ulamane ucho

I przyłóż
do rany

zawsze powtarzam sobie:
ani miłość
ani słońce
nie są stałe,
bo zachodzą

od kiedy urodziłam się
uczono mnie miłości, teraz
kiedy już Kocham, nauczą mnie:
zapominać

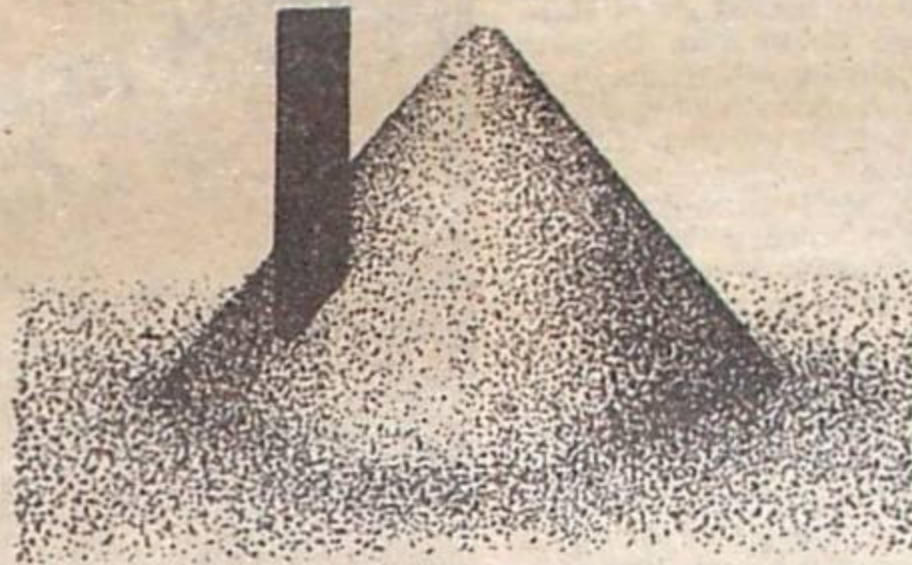
życie jest jak stary pociąg
z którego na każdym przystanku
wysiadają
bardzo zmęczeni ludzie

najsmutniejsze są nie te łzy
które spadają
ale te
które spaść nie
potrafią

miłość jest jak
stare drzewo które
rankiem pięknie wygląda
a nocą przeżywa swój
smutek

Dzisiejszej nocy niebo jest tak smutne
jak ja
Dzisiejszej nocy niebo jest tak smutne
że do rana
chcę ze mną płakać

Autorka pochodzi z Iranu. Studiuje medycynę na AM w Lublinie. Prezentuje swoje wiersze we własnym przekładzie z języka perskiego na polski. Dotąd nigdzie nie publikowała. Jest to więc jej — by tak rzec — wszechświatowy debiut.



Rys. Krzysztof Rumowski

WRZESŁOWIENIA

kiedyś staniemy mocno na nogach
opanujemy bezbłędnie
każdy oddech
i zaden gest
nie wyzwoli w nas
ani kropli bezradnego milczenia

kilka prostopadłych i równoległych linii
zwiąże kość z ciałem
w tym nowym dialekcie przestrzeni
i będziemy czekać
przeczuwając ból
który umiejscowi nas pośrodku
między strachem a rozkoszą
muzyką
wybuchającą w requiem

długo odkrywałam
ten ład bez Ciebie
ostrożnie
metr po metrze
w myśl wskazań pana Cogito
oddalałam od siebie kielich gorzkości
i cierpieniem posługiwałam się łagodnie
teraz
wszystkie Twoje twarze
walczą o azyl lustra
wszystkie słowa topnieją
łagodząc żar krwiobiegu
nawet pętla czasu
zaciska jak bandaż

Mapy sere

Jolanta Wiśniewska

Poezja nie polega na wymyślaniu rzeczy nowych, lecz na stałym odkrywaniu piękna.

Rene Char

INSPIRACJĄ spotkania z młodą poezją kielecką jest siedem arkuszy wydanych w ciągu ostatnich dwu lat pod redakcją St. Nyczaja. Autorzy wybranych tomików urodzili się w latach 1947—60, reprezentują różne zawody (pedagog, technik, inżynier, plastyk), związani są z Kielecczyną. Laureaci konkursów literackich, publikowali wiersze w prasie i almanachach poetyckich.

Przełęcz nasz rozpocznie zbiorówkę liryków BARBARY KALINOWSKIEJ-KELER „Oczekiwanie”. Poezję tę umieścić by można w pojemnej szufladzie z napisem „literatura kobieca”, pamiętając jednakże o opinii M. Kunczewiczowej, negującej łatwą klasyfikację: „Literatura jest przede wszystkim dobra albo zła, bez względu na płeć autora”. Uniwersalne możemy nurtować autorkę tomiku czas między ludzkie kontakty, posłannictwo poety. Imperatyw: „To co było / zapomnieć / istnieć / dla chwili złudzenia”. Zachód słońca okazuje się niemożliwy do zrealizowania, czego dowodem przepelnione tęsknotą poszukiwanie „piękna utraconego”. „utraconych twarzy” („Szukam”) oraz penetracja wspomnień („W moim ogrodzie”). Fantomy stają się ucieczką od zniechęcającego chłodem świata, w którym miłość trwa siedem dni. „Sztam...”) małżeństwo to „instytucja usług różnorodnych”, nastawiona na gromadzenie przedmiotów. „Małżeństwo”) Los współczesnego człowieka obrazuje samotna dziewczyna w zatłoczonej sali balowej („Muzyka...”) Najmniej oryginalne są rozważania autorki o poezji: „poeta widzi wszystko”. „poeta [...] najmędrzy z widzów / najczulszy z kochanków” („Poeta”). „Spotkanie autorskie”). Urok tej twórczości polega na subtelnej ironii, pastelowym rysunku, prostocie i przezroczystości słowa, a przede wszystkim na naturalności („Czyste miejsca”).

Mroczna i smutna poezja wypełnia tomik ANNY KALBARCZYK „Po tamtej stronie światła”, świadectwo jęczącej się „blizny zapomnień”, a jednocześnie nieszablonowej wyobraźni i wrażliwości. Znajdujemy tu galerię tragicznych postaci kobiecych: niespełnioną matkę („chciałam mieć dziecko...”), kochankę („pokochałam szaleńca...”), żonę przypominającą „sztuczny kwiat / z odrapanym lakierem” („żony nie mają złudzeń”), kobietę usiłującą uwolnić się od upiórów przeszłości („kobiety plorące... usuwałaś?...”). Sugestowność portretów mieszkanki odrealnionej krainy „Po tamtej stronie światła” potęguje intymność wyznań i nawiązanie do poetyki frenezji („szeszur zgłodniałych nocy”, „koldra cuchnaca śmiercią”). Warsztat artystyczny autorki raz pewną pretensjonalnością („ciało jak

blues”), choć pojawiają się też propozycje ciekawe („lakier dotyku”). Warto zaakcentować myślową i formalną jednolitość omawianego arkusza.

Zbiorówkę WŁODZIMIERZA SZYMKIEWICZA „Na obrzeżach” jest pozycją trudną w odbiorze. Julian Green stwierdził: „Myśl leci, a słowa idą piechotą — oto cały dramat pisarza”. U Szymkiewicza wygląda to inaczej: kaskada słów, myśl mgliście majaczy w tle. „Na obrzeżach” stanowi owoc zmagania autora z materią językową, prób indywidualnego jej modelowania. Stąd neologizmy (np. „gardłoszyje”, „pamięciorytmy”) i karkołomne metafory (np. „oszukany puder słów”, „hieroglify ruchów”). Poezja ta może lrytować, jednakże jest cenna jako zapis zderzenia świata poetyckiej wyobraźni z realiami codzienności, co uwidacznia się w warstwie językowej. Autor na sferę artystycznej wizji nakłada siatkę pojęć człowieka zanurzonego w polskiej rzeczywistości (np. „talon na przetrwanie”, „polis ubezpieczeniowa / na wypadek kalectwa wyobraźni”, „nowa dostawa ludzi”, „żelbetowe chwile”).

„Poezja powszedniości” stanowi również jeden z nurtów przewijających się w tomiku „Świat — płonące skrzydce” MARKA DUDZINSKIEGO: „Ileż poezji potrafi być w maśle śmietankowym” („Metafizyczne aspekty w maśle” — rozważa autor, który „właściwie nie różni się niczym od czajnika” („Balada o żar-ptaku”). Wyrażone jest tu dziedzictwo Białoszewskiego i Grochowiaka. Cykl „Pałac na Czarciej Górze” nawiązuje z kolei do tradycji romantycznej poezji grozy, z jej specyficznym nastrojem i scenarij („puszcza zaklęta”, „widziadła”, „sabat”, „loch”, „zatechły powiew”). Są tu też odwołania do tzw. poezji konkretnej (wizualnej), której utwory — wg słów Z. Jarozińskiego — stanowią „układy znaków graficznych w sposób celowy rozmieszczonych na płaszczyźnie”, zjawiska na pograniczu plastyki i literatury („Wiersz autonomiczny”, „Cmentarze”). Spośród poszukiwań autora najbardziej samodzielnie wydają się liryki: „Spowiedź Pana Boga” i „Świat — płonące skrzydce”, ukazujące rozdarcie jednostki między sacrum a profanum.

Treściami humanitarnymi nasyca KRZYSZTOF KUPIEC swój zbiorówkę „Ślone krople krzyku”. Głęboko przeżyta zagłada Żydów staje się podstawą apokaliptycznych przeczuć, ogarniających swym zasięgiem całą ludzkość („to nie trawia meduzy...”), nieuchronnie oddalającą się od świętego miasta Jerozolimę i wszystkiego, co ono symbolizuje („idziesz...”). Współczesny człowiek uodporniony jest na „ciepło i zimno / krzyk i razy”, jednakże w samotności płacze z bólu („jestem już odporny...”). Jego przeznaczenie — to wędrówka pustynną drogą przez „niekiedy...”) Poeta analizuje też kwestię teodycei: odpowiedzialność Boga „za wojny atomy

/ obozy koncentracyjne / zło” („Tak”). O sprawach estatecznych autor, wrażliwy moralista, mówi w sposób prosty i zwyczajny, oszczędnie dozując środków artystycznych.

Arkuszy poetycki ZBIGNIEWA TOBORKA „Nauka chodzenia” wyróżnia się bogactwem obserwacji, których przedmiotem są kalekie fizycznie bądź umysłowo dzieci (autor pracuje w szpitalu neuropsychiatrycznym). Choroba, szpital, śmierć — te główne motywy tej twórczości. Wiersze Toborka mają walor poetyckiej relacji z konkretnych chwil, w których poznajemy reakcje upośledzonych istot na świat, ludzi, naturę („Spacer”, „Miłość”, „Śliwa”). Obrazy te robią wstrząsające wrażenie, co podkreśla pozorna obojętność autora i oszczędność słowa. „Naukę chodzenia” można chyba też rozumieć jako próbę symbolicznego określenia kondycji ludzkiej. Człowiek jawi się jako ulomne, bezradne dziecko, zdane na łaskę opiekunów („Zaraz przyjdzie mama”), oswojone ze śmiercią („Okrucy czasu”, „Śmierć”), manifestujące bierność poprzez leżenie skonstrastowane z „mądrością ruchu” („Bezsen”, „Zima”). Kompozycja tomiku opiera się na gradacji napięcia emocjonalnego, wytwarzanego dyskretnymi słódkami.

W zbiorówce „Homo reactor” ANTONI DĄBROWSKI kwestionuje pozytywne skutki kreatywnej działalności człowieka. Ostrzeża, że twórcy zdobywca jest zagrożeniem dla świata (wiersz tytułowy tomu). Opozycja: „homo creator” — „homo reactor” nie stanowi tylko anagramu w obliczu zbliżającej się katastrofy. Autor przedstawia również objawy jałowości otaczającego nas świata, w którym upragniony przez ludzkość noworodek otrzymuje od trzech królów: „kartkę na mleko / tuzin pieluch / i Rumcajsa / w wersji dla głuchoniemych” („Jest noworodek” „Wiosna”). Podstawowy środek ekspresji stosowany przez Dąbrowskiego to groteska — np. Związek Hodowców Kanarków protestujący przeciw zbrojeniom: bomba atomowa „może uszkodzić / upierzenie a nawet głos” („Protest”). Ponadto pojawiają się w tomiku refleksy Herbertowskiej ironii (np. gorzkie „Quo vadis?”). Poezja ta charakteryzuje się też silnym osadzeniem w kontekście kulturowym, padają nazwiska m. in. Stachury, Marksa, Krzysztonia, Darwina, a także Kochanowskiego, którego autor uznaje za swojego mistrza: „to Ty / dałeś mi skrzydła / które chowam / pod płaszczykiem codzienności”.

Spotkanie z kielecką poezją niech zakończy refleksja, że obok głośnych dyskusji literackich spokojnym nurtem rozwija się twórczość, która pomimo pewnych niedostatków jest warta uwagi i choć części popularności, jaką cieszą się uznani „lirnicy willowi”.

Redagują: Marek Danielkiewicz, Urszula Jaros, Adam Kalbarczyk, Łukasz Manzarek i Bogumiła Sobótka.
Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.

Grottger

chciał

żyć

normalnie

Dokończenie ze str. 1

Może zaciekawi jednak przypomnienie, że artysta „chciał żyć normalnie”, a jego postawa wcale nie była romantyczna — jak w 1910 roku zauważył wybitny historyk i krytyk sztuki, Jan Bólor Antoniewicz autor bezkonkurencyjnej do dziś monografii Grottgera.

Już jako kilkunastoletnie pachole Artur działał z myślą o normalnej karierze artystycznej via akademii. Za namową namiestnika Galicji, hrabiego Agenora Gałuchowskiego, narysował, a następnie przedstawił w akwareli wjazd do Lwowa cesarza Franciszka Józefa I, otrzynując w zamian od wzruszonego monarchy stypendium, które umożliwiło Grottgerowi podjęcie studiów malarzkich: początkowo w Krakowie, a potem w Wiedniu gdzie zresztą spędził najbardziej owocne lata swego nader krótkiego życia. To stypendium pobierał długą, od 1852 do 1863 roku!

Bólor Antoniewicz zaznacza, że owe 150, a następnie 250 florenów rocznie stanowiło sumkę okrągłą, nie zwalnia-

jącą przecież młodzieńca z konieczności zarabiania na życie. Grottger zaczął pracować w Wiedniu, oszukując żoładek w specjalny, zabójczy sposób. Jak sam zanotował: „Hełkoć zmorzony głodem, zapale centowe cygaro, czuję wyraźnie, że gorycz, osiadająca na podniebieniu, gasi głód i tym sposobem mniej syci, podczas gdy kupiwszy za centa chleba nie tylko bym się nie najadł, ale bym, owszem, podniecił tylko apetyt”. Zmuszony sytuacją, zastawił zegarek, sorzedzał spinki, nierzestonek, nawet rączniki i stare ubrania wreszcie skrypty i rysunki — za 10 centów, na makulaturę!

Wkrótce jednak Grottger poczuł się lepiej i pewniej, zyskał uznanie jako autor ilustracji prasowych, portretów, scen rodzajowych

Siabowity od dziecka, chuchający, na zdrowie, skrupulatnie przeliczający pieniądze — on był przecież człowiekiem wielce towarzyskim i czułym na wdzięki kobiet. Zawiedziony w miłości do pewnej niemłodej już damy, a było to jeszcze w Polsce, próbował otruć się przy pomocy mieszanek trawy i proszku ceglanoego. Później kochał się w Halce, córce hrabiego Eugeniusza Dzieduszyckiego, i w wielu innych pannach, z których niejedna trudno byłoby chyba uznać za wzór cnót niewieścich. Ostatnią i rzeczywiście wielką miłością Grottgera okazała się lwowianka Wanda Monné, młodsza odcia o lat 13, z którą zaręczył się mimo wyraźnej niechęci jej matki do tego związku: poważnej, dobrze ułożonej dziewczynki z nadmiernie temperamentnym artystą o ciągle mglistej przyszłości. Co prawda Grottger był już znany i ceniony jako autor trzech pierwszych cykli narodowych, jakie dotąd narysował czarną kredką na papierze, ale ciągle przecież musiał ciężko pracować na kawałek chleba, nie mówiąc o tym, że jego popularności daleko było do sławy, którą faktycznie osiągnął dopiero na początku naszego stulecia, po złagodzeniu carskiej cenzury, zatem w kilkadziesiąt lat po śmierci artysty. Inna sprawa, że współcześni patrioti najchętniej cenili Grottgera w planie idealnym, czyli bezpiętnym. Przekonał się o tym w Paryżu, gdzie pojawił się na początku 1866 roku.

Do Francji autor „Połoni” udał się w nadziei, że tam właśnie rzuci świat na kolana i zyska podwójny sukces: artystyczny i materialny. Rysował portrety i sceny rodzajowe sybirackie i ludowe, od początku wykonywał „figurki paryskie”, myślał o wydaniu „albumu wystawowego”, kończony wła-

nie cykl „Wojna” zamierzał zaproponować Napoleonowi III. Równocześnie nawiązał rozległe stosunki w kolonii polskiej, bywał u Mickiewiczów w Hotelu Lambert, którego wystawne wnętrza zrobiły na nim wielkie wrażenie. Tam także jakiegoś sfrancuziałego Polaka, Norblina czy Norwida, poznałem który mnie bardzo ścisł i wlinzował. Był to widok bajecznie piękny, na salony prześcienne, wspaniałe, a

bardzo poważnie bo tylko rzęba w drzewie ciemnym marmurami i obrazami starych Włochów przyozdobione i ożywione grupami miękkich w kolorach i kształtach postaci kobiecych”. Ale „Lituanii” którą wystawił w Hotelu Lambert i w innym zamożnym domu polskim nikt nie kupił. Pisał z goryczą: „wszystko kończy się na kilku uśmiechach perfumowanych, wyrzucanych frazesach”.



Autoportret Artura Grottgera z 1866 roku

Repr. Przemysław Ostrzyżek

„Nie chcemy robić żadnej polityki wokół tragedii getta”

Dokończenie ze str. 1

Przez długi czas Polskę zamieszkiwało cztery piąte całej żydowskiej ludności świata. Co pozostało po latach holocaustu? Jak wygląda społeczność żydowska w naszym kraju obecnie?

Widzi pan, w Polsce, w przeciwieństwie do innych państw, jak choćby Związku Radzieckiego, nie ma obowiązku ujawniania swojej narodowości. Jak więc ustalić, ilu jest tutaj obecnie Żydów? Z grubsza szacuje się ich na piętnaście tysięcy, ale wszystkie takie wyliczenia mogą być bardzo złudne. Środowisko identyfikujące się aktywnie z naszym Towarzystwem jest stosunkowo niewielkie. Ale to dobrze, że wciąż zaznacza swą obecność.

Tak było zresztą od początku, od pierwszych lat powojennych. Tuż po wyzwoleniu ta garstka ocalałych zebrała się właśnie w Lublinie, w nie wykończonym jeszcze domu kultury imienia Perca. Diana Blumenfeld zaśpiewała tam po raz pierwszy od czasów pogardy piosenkę w języku jidysz. W tej akademii brali m.in. udział oficerowie radzieccy i polscy. Ta uciśniona, przesładowana i łepiona pieśń znów rozległa się na polskiej ziemi i wiodła

także większość słuchaczy nie mogła opanować łez. Wszyscy otoczeni tam Żydzi złożyli wówczas przysięgę. Ślubowali, że wbrew woli Hitlera Polacy i Żydzi znów będą żyć obok siebie, jak to czynili od tysiąca lat. Przysięgli także, że przez wielki ciężar będą pamiętać pomordowanych, a popełnionych zbrodni nigdy nie przebaczą.

Zgodnie z tym ślubowaniem, zaczęły znów powstawać żydowskie warsztaty pracy i żydowskie szkoły. A w Łodzi, 10 kwietnia 1945 roku, kiedy wciąż jeszcze trwała wojna, ukazała się pierwsza żydowska gazeta „Nowe życie” („Folks-Shtyme” jest właśnie jej kontynuacją). Tak w zminiaturyzowany sposób odradzała się jakby przedwojenna egzystencja. I wówczas tu Liedna, wyniszczona i na wpół zrezygnowana Polska wysygnowała z państwowych funduszy szesnaście milionów złotych na rzecz ocalałych Żydów. Na owe czasy była to suma ogromna. Dziś, również na bazie tamtych funduszy, działa Teatr Żydowski, Żydowski Instytut Historyczny i nasze Towarzystwo. Wiele pomników i tablic przypomina gełonec naszego narodu i wielkość jego najlepszych synów. W tych miejscach ukrywa się prawda o ponad trzech milionach ludzi, których wywazała z historii ludzka nienawiść.

Przez stulecia oba narody, polski i żydowski, żyły obok siebie, czerpiąc obficie, świadomie bądź nieświadomie, z własnych tradycji kulturowych. Po społeczno-żydowskiej pozostało wiele relikwów przeszłości. Jak, pana zdaniem, wygląda dziś opieka nad nimi? Jakie są w tym względzie problemy i trudności?

Ostatnio zaplanowało w tej dziedzinie spore ożywienie. Podczas swojej niedawnej konferencji rabin z całego świata stwierdził jednak, iż na przykład ponad 70 procent żydowskich cmentarzy w Polsce uległo całkowitemu zniszczeniu. Sugerują więc, by z praktycznego punktu widzenia koncentrować się na tworzeniu lapidariów lub wznawianiu tablic informujących o miejscach, w których znajdowały się niegdyś ośrodki żydowskiego kultu. Większość synagog także uległa dewastacji, a niektóre z ocalałych zagospodarowano już w inny sposób. I to jest w porządku. Nie mamy o to pretensji, jeśli nieśmiemy się w nich dom kultury bądź archiwum. Nie do przyjęcia są jedynie przypadki uwłaszczające godności tych miejsc, jak choćby przeniesienie ich na magazyny czy składowiska towarów. Nad wieloma miejscami pamięci opiekę objęła młodzież szkolna. To nas bardzo cieszy. By nie szukać

daleko — kamiennym poświęconym Anielewiczowi, tu w Warszawie na Miłej, opiekują się dziećmi z pobliskiej szkoły.

Słowem, robi się w tym względzie wiele. I dlatego tym bardziej zaskakuje na przykład takie fakty, jak odstawianie kilkunastu żydowskich nagrobków na cmentarzu w Łańcucie. Natychmiastowa reakcja lokalnej prasy i opinii publicznej świadczy o interdycjonalnym charakterze tego zjawiska. Nie możemy przecież pisać, że takie rzeczy mają miejsce, dajmy na to, w Niemczech czy Francji, a pomijając milczeniem podobne przypadki, zdarzające się niestety i u nas. Jasnoby chciałbym przy tym jednak podkreślić, iż był to zwykły wybrzyk chuligański.

Czy uważa pan, że dzieje polsko-żydowskiej współzależności doczekają się już kompleksowego opracowania? Czy wyczuwa pan jakiegoś nowego trendu w tej dziedzinie? Gdzie ukrywa się tutaj największe luki?

Badania tych stosunków nie mogą się kończyć bądź zamykać w jakimś z góry ustalonym punkcie. To ciągły proces naukowej penetracji. Zwłaszcza, że i na tych obszarach ukrywały się do niedawna „białe plamy”, zagadania tabu. Tymczasem, czy możemy napisać prawdziwą historię Pol-

Zakupu doczekała się natomiast „Wojna”, cykl nie tyle już patriotyczny, co pacyfistyczny. Nabywcą okazał się wszakże nie kto inny, jak cesarz zaborczej monarchii, Franciszek Józef I.

Za to honorarium Grottger zafundował sobie ostatnią podróż, na południe Francji. Wyczerpany pracą nad siły i gruźlica, zmarł tamże, w Amelies-les-Bains, 13 grudnia 1867 roku, w drugą rocznicę zaręczyn z Wandą Monné, która wkrótce sprowadziła zwłoki narzeczonego do Lwowa.

Dzieło Grottgera stało się narodową relikwią, dziś także pochylają się nad nim tysiące ludzi.

Warto jednak wiedzieć, że już w latach I wojny światowej zaczęto deprecjonować tę twórczość, postrzegając w kartonach natrętą wizualizację opowiadań historyczno-patriotycznych, niegodną uwagi nowoczesnego artysty, który, zdaniem protagonistów owego poglądu, powinien posługiwać się językiem formy plastycznej, a nie literatury. Grottger stał się — obok Matejki i Malczewskiego — synonimem jakiegoś fatalnego nieporozumienia w sztuce naszej, uwikłanej w misję narodową. Zbigniew Pronaszko, czołowa postać pierwszej polskiej grupy artystycznej o zacięciu awangardowym, powstałej w 1917 roku, oznajmiał: „Wszystko, co nie jest zagadnieniem formy i plamy, nie należy do malarstwa. Więc takie rzeczy, jak np. anatomia, perspektywa, wszelka literatura, a więc: różne alegorie czy opowieści, symboliczne rebusy, wszelkie historiozofie, choćby najbardziej narodowe (Grottger). Wszystko to może należeć do czego chce [...], tylko z malarstwem nigdy nie wspólnego mieć nie będzie”.

Oczywiście, w tamtych latach opinie takie budziły gwałtowny sprzeciw. Zapomnianym a ciekawym na to dowodem niech będzie jednodniówka „Grottgerowi Lublin 1917” wydana w 50-lecie śmierci artysty. Znajdujemy w niej teksty Franciszki Arnsztajnowej, Henryka Wiercieńskiego, Wiktora Ziółkowskiego, Marcina Eysmonta, Konstantego Kietlicza-Rayskiego i innych autorów, przy czym cytatu domaga się publikacja Rayskiego — malarza, krytyka, animatora lubelskiej kultury, a nawet (jak okazyjnie Grottger!) aktora teatralnego Pisa! on tak:

„Wobec prac Grottgera dziwnymi się wydają hasła z Zachodu ku nam od ćwierci wieku idące, a przez Polaków głośno powtarzane: L'art pour l'art, precz z literaturą w sztukach plastycznych, precz z ideą!

Zapewne, jak kto nie ma nic do powiedzenia, niech będzie dobrym inter-

pretatorem rzeczy widzianych; trudno jednak artystom komórki mózgowe i serca na klucz zamykać, szczególnie artystom Polakom; ci chyba nie powinni w wypowiedaniu swych uczuć ustawać. Jeżeli nastąpi nareszcie czas, w którym dozwolone są najdziksze eksperymenty w rzeczach sztuki, i patrzmy na to z tym przeświadczeniem, że są one podwaliną do nowego sposobu wypowiedania się, dlaczegoż nie miałyby dalej powstać dzieła, które odpowiadając najwyższym wymaganiom sztuki wzrokowej, podniecałyby równocześnie umysł do rozmyślań głębszych i podnosiły ducha i serce?!”

Racje pana Konstantego i jemu podobnych nie trafiały jednak do przekonania młodzieży artystycznej. Przez kilkadziesiąt następnych lat formacje awangardowe tak skutecznie ośmieszały Grottgera, Matejkę, Malczewskiego, że publiczne ujawnianie sentymentu do owych malarzy stało się w opinii najszybszą socjety up-to-date świadectwem głupectwa, braku wyobraźni oraz nowoczesnej wrażliwości estetycznej i w ogóle cywilizacyjnej. Nie wypadło przejmować się Grottgerem, wypadło gnoić Matejkę, Pouczając: po II wojnie twórczość i postawę takich artystów ceniło u nas najwyżej w okresie realizmu socjalistycznego!

Dzisiaj znów inaczej: awangarda zniechęcała w czasie przeszłym, a gromady ludzi zwykłych, uczonych i elitarnych pochylają głowy przed Grottgera „sztuką pamięci i żałoby”

To zrozumiałe i wzruszające.

Dlaczego jednak przy okazji próbuje się przyzwać rysownika i malarza w anachroniczny, stebnowany lacińskim wzorem kostium wieszca narodowego?! Wszak to dzisiaj strój kabaretowy! Czy zresztą wieszca klasyczny pozwoliłby sobie, jak właśnie Grottger, na z ponurą ironiczny karton „Rekreacja na Sybirze” (reprodukowany, nawiasem mówiąc, w „Polityce” nr 5 pod tytułem „Ciosanie krzyża” co także ciekawe)?

Grottger — oczywiście, on był patriotą, który chciał przecież żyć normalnie!

U nas nie wypada jednak, by patriotyzm szłał się w parze z normalnością, cóż beznamietnej logiki i przemyślanego kompromisu. A jeśli dojdzie już do takiego mezaliansu, to niegodną część owego stadła bojkotuje się w towarzystwie wynosząc zarazem pod niebiosa stronę uważaną za lepszą, dla odróżnienia od młernoty przyzwoitą w jakiś szczególnie malowniczy kostium, powiedzmy — nawiedzonego wieszca.

Ireneusz J. Kamiński

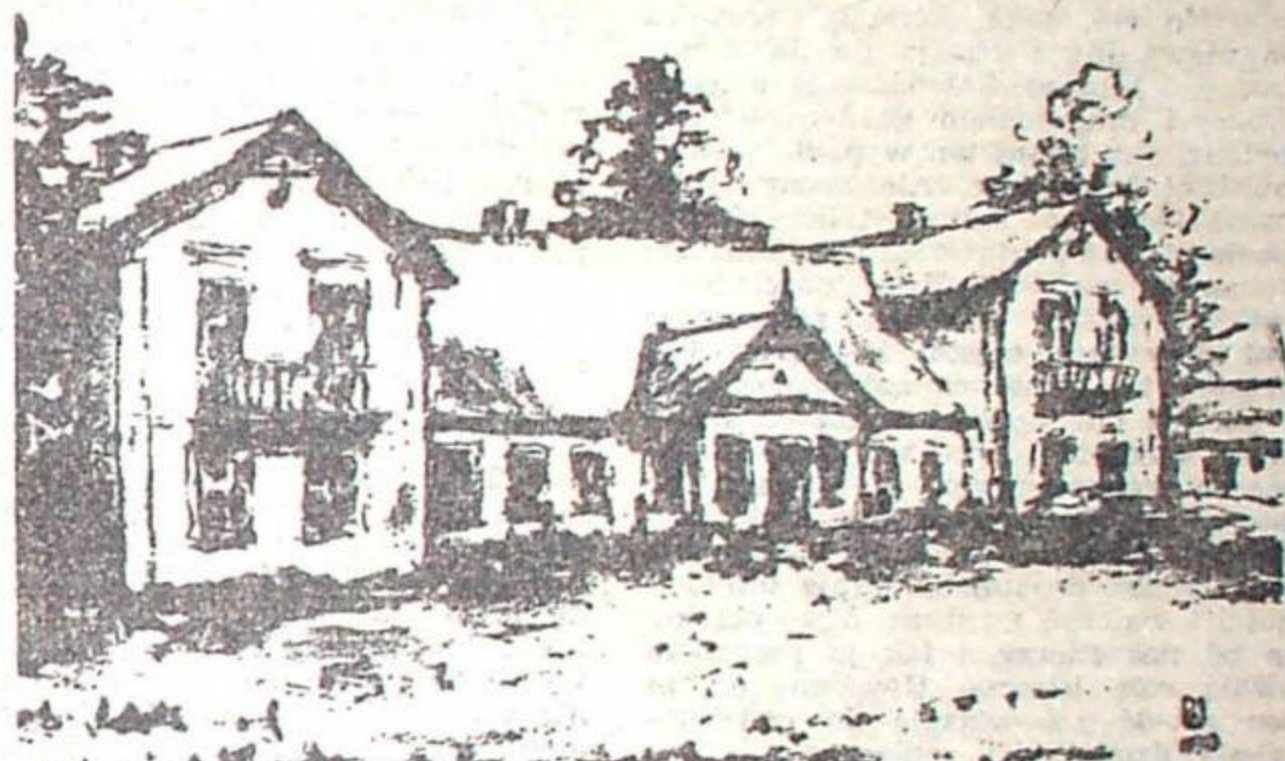
Zapomniane zabytki w rysunku Rajmunda Urbanowicza

Matczyn - dawny dwór

W MATCZYNIIE obiektem zainteresowania Rajmunda Urbanowicza stał się nie siedemnastowieczny drewniany kościół, ale stojący po przeciwnej stronie szosy i młodszy od niego murowany dawny dwór. Powstał on w końcu XIX wieku z inicjatywy ówczesnych właścicieli Matczyna, Ligowskich. Byli oni także fundatorami kaplicy cmentarnej na miejscowym cmentarzu grzebalnym, założonym w XX wieku. Tam też znajdują się ich groby rodzinne.

Dwór usytuowany na terenie dawnego parku zbudował Aleksy Ligowski lub jego syn Karol. Zasadniczy rzut budynku przypomina kształtem literę „H”, przy czym część środkowa, podkreślona gankiem, jest parterowa, zaś skrzydła boczne są jednopiętrowe. Choć dwór matczyński jest murowany, w jego szacie zewnętrznej, w charakterystycznym opracowaniu dachów oraz balkonów, ozdobionych misternymi żelaznymi kratami, widać wzorowanie się na formach tzw. stylu szwajcarskiego. Styl ten spopularyzowany został po połowie XIX stulecia w zabudowie, głównie drewnianej, polskich letnisk, uzdrowisk, ośrodków podmiejskich, w tym także w licznych willach pobliskiego Nałęczowa. W ostatniej ćwierci XIX wieku elementy „stylu szwajcarskiego” rozpowszechniły się szeroko, towarzysząc zarówno drewnianym jak i murowanym willom, pawilonom, hotelom i dworom. Przykładem jednego z nich jest zarejestrowany w rysunku Rajmunda Urbanowicza — dwór w Matczynie.

(ak)



ski bez zaznaczenia w niej roli i udziału Żydów? Taka historia byłaby po prostu fałszywa. Czy pan wie na przykład, że pionierami żeglugi na Wiśle byli właśnie Żydzi? A eksploatacja i wykorzystanie złóż soli na ziemiach polskich? Wkład Żydów w dzieło polskiej nauki i kultury także trudno przecenić.

Wszystkie te fakty znajdują potwierdzenie na coraz liczniejszych sympozjach naukowych, konferencjach, sesjach, a także w publikacjach i opracowaniach. W Oxfordzie ukazuje się pod tytułem „Polin”, kompleksowe dzieło o roli Żydów w polskim dorobku cywilizacyjnym. Ostatnio kupilem u nas, wydaną przed wojną, monografię dr. Izaaka Szypera „Rola Żydów w handlu w Polsce”. Zawsze zachowuję też w pamięci fakt, że to właśnie żydowscy księgarze przygotowali do druku i publikowali pierwsze edycje dzieł Mickiewicza i Słowackiego.

Sądzę, że ten proces pogłębionej analizy naukowej służyć będzie także rozszerzaniu współczesnej integracji obu narodów. Na takiej tradycji można przecież wiele zbudować.

— W kwietniu przypada 45 rocznica powstania w getcie. Jak Towarzystwo przygotowało się do jej obchodów?

— Działa Komitet Organizacyjny tych uroczystości. Jego honorowym przewodniczącym został profesor Henryk Jabłoński. Obchody mają zupełnie wyjątkowy charakter. W czasie, gdy przypadła czterdziesta rocznica wydarzeń w getcie, światowa społeczność żydowska okazała się podzielona. Wielu nawoływało wówczas do bojkotu Polski jako miejsca tych uroczystości. Obecnie sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Spodziewamy się przybycia ponad pięciu tysięcy delegatów z całego świata. Będzie to więc manifestacja, jakiej nie widziała dotąd War-

szawa. W programie uroczystości są sympozja, sesje naukowe, wystawy malarstwa i rzeźby, występy Teatru Żydowskiego, quiz dla młodzieży, którego transmisja za pośrednictwem satelity obiegnie cały świat, manifestacje w miejscach pamięci i pod pomnikami bohaterów.

A potem, kiedy zakończy się gala... potem przybyli tutaj Żydzi, udadzą się do swoich dawnych miast i miasteczek, by szukać tam cieni swych najbliższych, by hołd i zadumę poświęcić tym, których już nie ma.

— Jedną trzecią wszystkich ludzi nagrodzonych medalem „Sprawiedliwy

między narodami świata” to Polacy. Tragiczne lata okupacji hitlerowskiej zadzierzgnęły wiele głębokich związków między Polakami i Żydami, a jednak po tym okresie ukazują się publikacje i widowiska typu „Shoah” Lanzmanna czy „Holocaust” Greena. Jak można to, pana zdaniem, wytłumaczyć?

— Proponuję, byśmy o tym nie mówili; by nie łączyć tych spraw. Takie rzeczy budzą kontrowersje. Spójrzmy lepiej na te dzieła wyłącznie jako na utwory artystyczne. Czy fakt, że wyświetlany obecnie w Moskwie „Shoah” cieszy się tam ogromnym powodzeniem, ma jakiegoś głębsze znaczenie? Osobiście zawsze poszukiwałem jedności; tego, co nas łączy, a nie tego, co dzieli. Historia dostarczyła nam w tym względzie wielu niezbitych dowodów. Wiemy przy tym, jak dużo uczucia ukrywa się wobec nas w polskiej duszy. Mamy w niej swoje niekwestionowane miejsce. Sympatię i wsparcie odczuwamy i z innych stron. Okazują nam je wybitne osobistości międzynarodowe, odwiedzające Polskę. Na przykład wiceprezydent USA George Bush złamał protokół dyplomatyczny, by spotkać się z kierownictwem naszego Towarzystwa. A papież, taki wielki człowiek? Długo klęczał na granitowej płycie przed pomnikiem Bohaterów Getta, a potem zaprosił przedstawicieli związku religijnego wyznania mojżeszowego do siebie na rozmowę; rozmowę ciepłą, serdeczną i szczerą. Tylko takie rzeczy są ważne.

— Dziękuję panu bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

Trzydzieści lat w okulistyce

Rozmowa z dr. Włodzimierzem Hamerskim

— Przewodniczy pan Komisji Zdrowia i Spraw Socjalnych lubelskiej WRN, jest pan radnym wojewódzkim, działaczem Wojewódzkiej Komisji Zdrowia ZSL i w Wojewódzkiej Komisji Zdrowia ZBoWiD. Ale przede wszystkim jest pan lekarzem, człowiekiem, który od trzydziestu lat spotyka się na co dzień z ludzkim nieszczęściem. Jak pan ocenia — z jubileuszowej perspektywy trzech dziesięcioleci lat uprawiania zawodu — swoją pracę, swą drogę życiową?

— No cóż, taka „okrągła” rocznica to niewątpliwie okazja do dokonania jakiegoś bilansu. Zawodowego i życiowego. I pragnieniem każdego lekarza byłoby, aby bilans ten wypadł jak najbardziej korzystnie. Ale oceny takiej mogą dokonać jednak tylko chorzy, pacjenci, którzy są zresztą najbardziej surowymi sędziami działalności lekarza. Nawiasem mówiąc, zapominają oni przy tym często, że lekarz jest częścią tej samej co oni społeczności i tak jak oni, podlega wszelkim wpływom otoczenia oraz warunkom społeczno-ekonomicznym. Ja wiem na pewno, że lekarz przez całe życie, niezależnie od ilości przeprowadzonych lat, musi wciąż doskonalić swoje umiejętności i walczyć z rutyną. Tego oczekują od nas chorzy, i tak ja rozumiem swoją rolę lekarza. Uważam też, że ten zawód zobowiązuje do podejmowania działalności społecznej.

— Jakimi pobudkami kierował się pan, wybierając zawód lekarza?

— Tu należałoby się cofnąć do okresu, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

Większość z nas może wskazać na momenty w swoim życiu, które zdecydowały o wyborze zawodu, a nawet o całej karierze. I niekoniecznie muszą to być momenty miłe. W moim przypadku o wyborze zawodu zdecydowały przeżycia smutne, tragiczne, związane z okresem okupacji. Byłem wtedy małym chłopcem, wokół było pełno nieszczęścia, szerzyły się choroby, a ludzie umierali z wyniszczenia, głodu i braku pomocy lekarskiej. Wtedy właśnie postanowiłem, że jak przeżyję wojnę, to zostanę lekarzem... Po skończeniu podstawówki i po latach nauki w zamojskim gimnazjum, wyruszyłem — jak sobie kiedyś zaplanowałem — na studia medyczne. A był to początek lat pięćdziesiątych...

— Oczywiście studiował pan na Akademii Medycznej w Lublinie.

— Tak. Ale dopiero od drugiego roku. Zaczynałem na Akademii Medycznej w Białymstoku.

— Miał pan wtedy już swój wzór lekarza, naukowca, wykładowcy?

— Takim wzorem stał się dla mnie (i nie tylko zresztą dla mnie jednego) profesor Kielanowski, pierwszy rektor białostockiej Akademii Medycznej. Jako lekarz, doskonały fachowiec, lecz także jako prawy człowiek i prawdziwy społecznik. Był nie tylko lekarzem, nie tylko naukowcem zajmującym się medycyną, ale również wielkim humanistą. Kochał go młodzież, a on się jej odważał...

— Dlaczego poświęcił się pan akurat okulistyce?



Fot. Jan Trembecki

— Lata powojenne charakteryzowały się olbrzymią liczbą ludzi kalekich, w tym także niewidomych. Najwięcej ociemniałych lub półociemniałych było ofiarami wojny i lat okupacji. Ociemniałych widziało się wszędzie — jako żebraków pod murami kościołów, jako weteranów wojennych, noszących jeszcze nieraz żołnierskie mundury. Największy odsetek ociemniałych stanowili mieszkańcy wsi. Oni też byli najbardziej nieufni, nie wierzyli w możliwość przywrócenia wzroku. Tak samo jak w powszechne bezpłatne leczenie. Ich kalectwo spowodowane było najczęściej zaniedbaną jaglicą, nie leczoną jaskrą lub zaćmą. Jako młody lekarz, pracownik Kliniki Okulistycznej AM w Lublinie, miałem możliwość przekonać się naocznie, jak trudna była wtedy walka właśnie z jaglicą, ile wymagała od lekarzy wysiłku i poświęcenia. Jaglica, choroba niezwykle zakaźna, obejmowała całe skupiska ludzkie, całe wsie i miasteczka, dając trudne do opanowania epidemie. Jeszcze jako studentom prezentowano nam olbrzymią liczbę chorych z różnymi stadiami jaglicy i przedstawiano sposoby profilaktyki i zwalczania tej choroby. Dzisiaj polscy studenci medycyny jaglicę mogą oglądać tylko na filmach lub przezroczach.

Myślę, że stałem się wiernym uczniem nauki zwanej okulistyką. Pracując przez wiele lat w klinice okulistyki, od początku pozostawałem pod wrażeniem znanej szkoły okulistów lubelskich. Byłem świadkiem i uczestnikiem tworzenia tutaj w latach sześć-

dziesiątych nowych dziedzin tej nauki: kriochemii, krioterapii i mikrochirurgii. To właśnie w latach sześćdziesiątych powstała w naszej klinice nowa metoda usuwania zaćmy przy pomocy zimna, z wykorzystaniem specjalnego przyrządu, którym zamraża się, a następnie usuwa zmętniałą soczewkę oka. Metoda ta nie tylko przyjęta się na całym świecie, lecz zrewolucjonizowała medycynę. W okulistyce znalazła zastosowanie nie tylko do operacyjnego leczenia zaćmy, ale także jaskry, odwarstwienia siatkówki i nowotworów wewnątrzgałkowych. W późniejszym okresie metoda ta znalazła też zastosowanie w leczeniu zachowawczym schorzeń wirusowych rogówki, oparzeniach oczu, wylewów krwi do wnętrza gałki ocznej. Krioterapia i kriochirurgia znalazły zastosowanie w laryngologii, dermatologii, neurochirurgii, kardiologii, stomatologii...

— Po przepracowaniu dziesięciu lat w lubelskiej klinice okulistyki, podjął pan pracę w lecznictwie otwartym jako lekarz okulista, sprawując nadzór w tej dziedzinie w Zespole Opieki Zdrowotnej w Lublinie przy ulicy Hipoteckiej.

— Tutaj może miejsce na stwierdzenie oraz przypomnienie, że okulistyka lubelska to nie tylko Klinika Okulistyczna AM. W Lublinie mamy sześć przychodni specjalistycznych dla dorosłych, w których znajdują się poradnie okulistyczne, wyposażone w nowoczesny sprzęt diagnostyczny. Istnieje też poradnia okulistyka dla dzieci z terenu całego miasta. Lublin posiada samodzielną wojewódzką przychodnię leczenia zezów i niedowidzenia oraz przychodnię leczenia jaskry. Wykształciła się zupełnie nowa gałąź — okulistyka przemysłowa, zajmująca się profilaktyką i leczeniem schorzeń przemysłowych w większych zakładach pracy. Czyni się starania przeniesienia podobnej profilaktyki do rolnictwa.

Z racji pełnionych przeze mnie funkcji społecznych staram się głębiej poznać problemy związane z życiem i zdrowiem szczególnie społeczeństwa wiejskiego.

— Pańskie plany na przyszłość?

— W moim przypadku wszystkie plany determinowane są zdrowiem. Jeżeli ono dopisze, to chciałbym jeszcze długo pracować. Okulistyka jest specjalnością o dużym zapotrzebowaniu społecznym, więc myślę, że i moja osoba będzie długo przydatna do ratowania największego skarbu, jakim natura mogła obdarzyć człowieka — wzroku. A wtedy może bogowie pozwolą mi na rzeczywiście zasłużony jubileusz.

Rozmawiał: Mirosław Derecki

Czterdziestki

Adam Fiala



W MARCU w dawnych dobrych czasach bywało, że zjeżdżałem na nartach z „Globusa” za LSM (wtedy górka była jeszcze na dziko, bez wyciągów, ale towarzysko prominentna). Obecnie, „w swej drugiej reinkarnacji”, tym razem australijskiej, mam czterdziestki. Nie, nie chodzi o wiek, oczywiście już dość dawno przekroczyłem czterdziestkę. Po prostu czterdziestki to temperatura w cieniu, około południa. Można siedzieć w pomieszczeniach klimatyzowanych. Cała Ameryka uwielbia klimatyzację. Ale mnie, gdy klimatyzacja, jest po prostu zimno. Owszem, po tutejszym „Samie” jeszcze pochodzi, ale w domu? Zresztą jest droga, pożera sporo prądu. Dobra dla facetów w garniturkach.

Gdy tak jestem w czterdziestce, w cieniu, na balkonie, w przepasce, na leżaku czy hamaku, czuję się jak Paul Gauguin na Tahiti. Ja wiem, że miał źle, martwił się (też się nieraz pomartwił), głodował (z tym gorzej, jedzenie tu obfite i tanie), ale musiał mieć także i wspaniałe momenty, o czym najlepiej świadczy jego obrazki z tego okresu. Przy odrobinię bowiem wyobraźni Perth może być taką egzotyczną wyspą. Patrząc: tu palma, tam kawałek plaży, tu znów aborygenka z aborygeniakiem, chyba tak należy nazwać. Pamiętam jeszcze z kraju obraz Dudy-Gracza „Częstochowianeczka”...

Aborygeni to bardzo malowniczy ludzie. Oni jedni nie byli zadowoleni z obchodów dwustulecia Australii, to znaczy europejskiego okresu Australii. Mnó-

stwo protestów, kolorowych marszów, zgromadzeń, telewizja pokazywała to, a jakże. O co chodzi aborygenom? Można powiedzieć: o sprawiedliwość, o wyrównanie krzywd doznanych. Zresztą zdania są podzielone. Czarnym aktywistom chodzi nie tylko o prawo do ziemi, ale i o suwerenność. A więc swego rodzaju separację od białych.

Fakt, że aborygeni stanowią jedynie jeden procent społeczeństwa australijskiego. Udowodnionym faktem jest także, że zamieszkiwali australijski kontynent od przeszło 40 tysięcy lat przed przybyciem białego człowieka (zresztą jako skazańca). Ale oni też podobno nie są rdzennymi mieszkańcami, ponieważ przybyli tu, gdy Australia była jeszcze połączona z lądem. Przez czterdzieści tysięcy lat byli nomadami, zorganizowali wprowadzić sieć szlaków handlowych, przebiegających dość gęstą siatką przez całą Australię, ale nie zbudowali żadnej osady, nie hodowali nawet świni, towarzyszyli im jedynie psy dingo. Aborygeni stworzyli ciekawą kulturę, wierzenia, można ich nazwać prekursorami europejskiego malarstwa abstrakcyjnego. W ich kolorowych kropkach na skalach i drzewnej korze wybiegający w przyszłość, pomysłowy Szwajcar doszukiwał się helmów kosmicznych, wirujących spodków i tym podobnych akcesoriów. Ze niby to oni wszystko widzieli. No, w końcu mieli możliwość. Czterdzieści tysięcy lat.

Teraz większość aborygenów mieszka w miastach, wielkich miastach współczesnej Australii, i odżywia się jedzeniem wyprodukowanym przez białych farmerów. Owszem, aborygeni nigdy nie cierpieli głodu, potrafili niezwykle umiejętnie współżyć z przyrodą (biały człowiek był w pierwszym okre-

się na tym kontynencie dość bezradny). Ale też zmieniali naturalne środowisko. Stosowali choćby kontrolowane wypalanie buszu. Ogień oczywiście zdobywali pocierając patyk o patyk. Teraz dostają spore zasilki, większe od białych; ich dzieci wożone są do szkoły specjalnymi mikrobusami.

Polacy, zwłaszcza z nowego rzutu, uważają na ogół, że aborygeni mają zupełnie dobrze. Tak, bowiem zawsze najważniejszy jest tak zwany punkt odniesienia... A czy Polacy mają dobrze? Ba, znam pewną receptę. Polecam do wypróbowania, zwłaszcza dla kawalerów, w tak zwanym kwiecie wieku. Warunek: trzeba się znaleźć w Australii, o co bynajmniej teraz nie jest łatwo, nie to, co początek lat osiemdziesiątych. Niedawno przeczytałem w miejscowej prasie, że władze odmówiły przyjazdu pewnej Polce do męża, który jest w Sydney od dobrych kilku lat, urządzony, ma dom, nieruchomości na kółkach także (jednak się ruszał), czyli jest przelicznikowym milionerem. Odmówiły to bardzo — że tak powiem — niepolitycznego powodu: za gruba. Waży coś dobrze ponad sto kilo. Musi „spaść”, wtedy dostanie wizę.

No, ale założmy jednak, że już jesteś w Australii, możesz nawet przytyć, za nadmiar wagi nie wydają. Tylko czy ci to naprawdę zapewni pełnię szczęścia na tym Szczęśliwym Kontynencie? Nie zapewni. Trzeba główkować. Pożyjesz tutaj szaro, jak Waldemar N. z Sydney, który najprostszym robotę się chwycił: sprzątacza, ładowacza, magazyniera. Potrafił tak pracować nawet miesiącami. Zbierał, gromadził. Ale nie, żeby tam, po drugiej stronie półkuli, gdzie zima w tym roku tak laskawa, zakładać od razu jakąś inieżytywę (znaczy prywatną). Waldek miał głód kobiet. Tu gorzej. No bo kim tu jesteś? Nikim. Mister Nobody. A tam? Życie Waldemara zaczynało się, gdy stał na Okęciu. Jedno wielkie Kolorowe Tango w Szarym. Powiedzmy: przez pół roku. Potem powrót, no i na odmiannę Szare życie w Kolorowym...

Najlepiej wspominał potem Zakopane. (Był tam za jedną panią, która mieszczała się w parametrach dla „bogatego cudzoziemca, polskiego pochodzenia, oczywiście”). Nawet może nie tyle samo Zakopane, co Bukowinę: „Jak oni tam grają, jak grają te góralskie orkiestry, to prawdziwa bush music, egzotyka. Albo jeszcze i więcej: jak aborygeni. Góral tylko bardziej ostry, mocniej może dolożyć”.

— Poszył się pan ze swojego odczucia Zenona Laskowika, współtwórcy pańskich sukcesów artystycznych. Krzysztofowi Krawczykowi także nie na długo dane było przebywać u pana boku. Jest pan zwolennikiem specyficznego rozumianego pluralizmu.

— Nie podobnego, to właśnie ja byłem u Zenona Laskowika, w jego zespołach. A że on wycofał się z tej profesji, to już nie moja wina. Natomiast z Krawczykiem pracowałem dosyć długo i twórczo. Niebawem ukadzie się druga piosenka nagrana przez duet Krawczyk — Smoleń, a trzecia powstała w koprodukcji z Danutą Błażejczyk. Jeśli zaś chodzi o pluralizm, to jak najbardziej jestem zwolennikiem wysłuchiwanie opinii wszystkich stron.

— W niedługim czasie ma się ukazać na rynku pierwsza płyta. Jakie utwory znajdują się na tym krążku?

— Będzie to płyta-niespodzianka. Nie więcej na ten temat nie powiem. Aha, jej tytuł brzmi: „Rzężenia Smolenia”.

— Czy mógłby pan podać bliższy termin ukazania się płyty?

— Nie, ponieważ nie wiem, czy wydawcom w ogóle będzie się opłacało ją wyprodukować. W PRL nie wszystko się opłaca. Przede wszystkim utrudnione jest. Stąd ta niewiedza.

— Z czego śmieją się rodacy?

— Ze wszystkiego, co się rusza. Jesteśmy specyficznym narodem. Kpiemy sobie ze wszystkiego. Byle oczywiście z nas nikt sobie nie zakpił, bo wtedy bardzo się złościmy.

— Jest pan człowiekiem mile widzianym w towarzystwie. Jak często udaje się panu wciągnąć do wspólnej zabawy współuczestników spotkania?

— Nigdy nie miałem ambicji być wodziurem, bawienia towarzystwa na spotkaniach prywatnych, dlatego zawsze zachowuję się jak wszyscy pozostali zaproszeni goście. Nigdy też nie staram się kogokolwiek rozśmieszać na siłę. Poza tym w czasie spotkań towarzyskich nie lubię gadać. Wystarczy, że robię to na estradzie.

— Ostatnio coraz modniejszy staje się humor prządny, siermiężny, jarmarczny. Coraz mniej miejsca jest w nim na elegancję...

— Jakie czasy, taki humor. Prządny i chamski jest humor. W tej materii panuje zgodność. Wraz z odejściem prawdziwej inteligencji, mam tu na myśli warstwę społeczną, pozbyliśmy się humoru wysublimowanego, delikatnego. Tak przedstawia się sytuacja w wielkim uproszczeniu. Bo prawda jest taka, że ludzi o wysokiej kulturze osobistej jest w Polsce dużo; nie sadzę, aby cokolwiek różnił się oni od inteligencji zachodniej z którą przez stulecia byliśmy dość silnie związani. Panująca w kraju sytuacja gospodarcza i notoryczne niedostatek podstawowych dóbr niezbędnych do utrzymania się przy życiu, zmuszała tegoż inteligenta do bezopardonowej walki, często chamstwa. Był określa świadomość.

Jestli więc ów inteligent na co dzień siedzi w tym chamstwie po same uszy, to i jego potrzeby duchowe są także niki. Sytuacje te można zresztą rozszerzyć na wszystkie pozostałe warstwy społeczne.

— Kogo najłatwiej jest rozbawić?

— Ależ ja nikogo nie chce rozbawić. Przekazuję jedynie widkom pewne wiadomości w sposób humorystyczny, nie więcej. Te wiadomości są czasem bardzo smutne, z czego chyba nie wszyscy zdaliśmy sobie sprawę.

Jakie czasy taki kabaret

Rozmowa z Bohdanem Smoleniem

— Chce pan być duszą narodu, Stańczykiem...

— Nie. Chyba nie... Choć przyznaję, że pewne sprawy doprowadzają mnie do pasji. Ot, chociażby kwestia zapłaty za pracę i odpowiedzialności za nią. Niedawno w telewizji paru facetów prowadziło uczoną dysputę nad wysokością wynagrodzenia, jego skład-



Rys. Józef Tarłowski

ników itp. Dyskutanci ci wypowiedzieli mnóstwo słów, lecz żaden nie powiedział jednego, że za pracę należy płacić sprawiedliwie. Podobnie jest z odpowiedzialnością na której temat w ogóle nie powinniśmy dyskutować. Ktoż bowiem ma odpowiadać za że wykonana praca jak nie sam wykonawca? Skoro podjął się jej wykonania, to chyba jest do tego przygotowany, świadomy co robi. W takiej sytuacji nie wiem, czy powinienem być Stańczykiem czy też prokuratorem.

— Wróćmy do prawdziwej satyry. Wojciech Młynarski zrobił program oparty na tekstach Hemara. Czy nie zamierza pan sięgnąć po klasykę humoru?

— Obecnie prezentowany przeze mnie program cieszy się takim powodzeniem, że o najbliższą przyszłość zawodową mogę być spokojny. To po pierwsze. A po drugie, jestem zwolennikiem humoru bardziej aktualnego, choć nie ukrywam że pomysł Młynarskiego frafil w dziesiątkę. W tym mo-

— Jest pan zauroczony współczesnością, ale podczas programu nawiazuje pan do niedysyjszej mody. Ubiór damski, prezentowany podczas „Kabaretu”, a składający się z gumofilców, portek drellichowych, kufajki i czapki uszanki noszący wdzięczną nazwę „Wanda Wasilewska”, wywołuje na sali gromkie brawa.

— Dajmy tym drellichem spokój. Przeszły minęły, więc nie ma o czym rozprawiać.

— Zwracając, że pan także zużył dzinsy, a przywdział frak.

— Ubiór ten przywdziałem, ponieważ ostatnio powiększyło mi się mieszkanko, więc dokupiłem sobie kilka szaf.

— Załatwił pan sobie większe mieszkanie w blokach?

— Nie, zbudowałem własny domek.

— Skoro zesłiliśmy na tematy budowlane, może zechce pan powiedzieć, jak pan ocenia stan polskiego budownictwa, będącego wypadkową całej naszej gospodarki?

— Uważam, że zarówno w tej dziedzinie, jak też w innych sferach gospodarki nastąpi dalsza poprawa i pełna realizacja.

— Kiedy?

— A tego to już nie wiem.

— Miał pan kłopoty ze zdobyciem materiałów budowlanych?

— Trochę i tylko początkowo. Kiedy bowiem naczelnikowi gminy pokazałem swój własny dyplom zootechnika, natychmiast otrzymałem przewdział na potrzebne materiały które po paru latach były już na placu budowy.

— Mieszka pan na wsi. Jest więc pan poniekąd dwuzawodowcem.

— Tak oba zawody uprawiam ponieważ bardzo leży mi na sercu wyżywienie narodu. Podobno z dzialek przyzawodowych uzyskuje się wyższe

plony niż gdzie indziej. Niewykluczone, że w niedalekiej przyszłości zostanie pierwszym rolnikiem kraju.

— Ma pan jakąś receptę na wyżywienie narodu?

— Oczywiście ale trzymam ją w sejfie żeby nie dostała się w niespodziewane łapy imperialistów. Teraz wszyscy stawiają na „nowe” to może też i oni zechcą iść po nowemu Widelcam.

— A propos wielozawodowstwa. Kiedyś sam pan pisał teksty do swoich programów satyrycznych.

— Kiedyś tak. Z czasem jednak wyspecializowałem się i uznałem, że jeden powinien pisać, a drugi czytać. Teraz taka moda.

— Czy z satyry można żyć?

— Można. Pod warunkiem rzecz jasna, że nie ulegnie się obcym wpływom i zarobionych pieniędzy nie przeznaczy się na alkohol.

— Wróćmy do kabaretu.

— Przecież my cały czas jesteśmy w kabarecie.

— Ale do tego prawdziwego. Ostatnie polski kabaret przeżywa kryzys. Jest grupa weteranów jak np. Dzięwoński, Kobuszewski, Gołas. Mamy wiek średni — Rewiński, Zaorski, Smoleń. Nie ma natomiast młodzieży.

— Proszę pana jeśli chcemy, aby kabaret rozwijał się normalnie, to wystarczy, że nikt nie będzie mu przeszkadzał w rozwoju. Kierowanie programowanie być może zdaje egzamin na przykład w technice, ale nie sprawdza się w życiu artystycznym, społecznym. Te dziedziny naszej aktywności powinny rozwijać się same. Odrzucać rzeczy złe, a akceptować i przejmować dobre. Jest to zgodne z ludzką naturą. Natomiast co do młodzieży w kabarecie, a raczej jej braku jest to chyba efektem niecierpliwości młodych ludzi. Na nazwisko w świecie rozrywki trzeba pracować nawet dwadzieścia lat. Niektórzy w ogóle się to nie udaje. A dziś młodzi ludzie nie mają na to czasu, gdzieś im się ciągle śpieszy.

— Zahaczyliśmy niejak o cenzurę. Mówi pan o przeszkadzaniu, a tymczasem w „Kabarecie” aż roi się od akcentów politycznych.

— Chyba nie. Teraz ludziom wszystko kojarzy się z polityką. Jak temu Jasiowi, któremu nawet biała chusteczka z czymś tam się kojarzyła.

— Woli pan śpiewać na estradzie czy recytować?

— Artysta estradowy musi być uniwersalny jak kolo gospodyń wiejskich. Dlatego jest mi to obojętne.

— Jak pan znajduje Lublin po latach nieobecności w tym mieście?

— Jest tak samo zaniedbany, brudny i nieodśnieżony jak poprzednim razem. Jedynym miłym akcentem są stoliska z towarami pochodzącymi z wymiany przerysaniczej. Na jednym z nich kupiłem sobie młotek. W moim gospodarstwie rolnym przydałaby się jeszcze kosa albo coś mniejszego.

Rozmawiał: Adam Łysakowski

Z teki Tomasza Wilezkiewicza

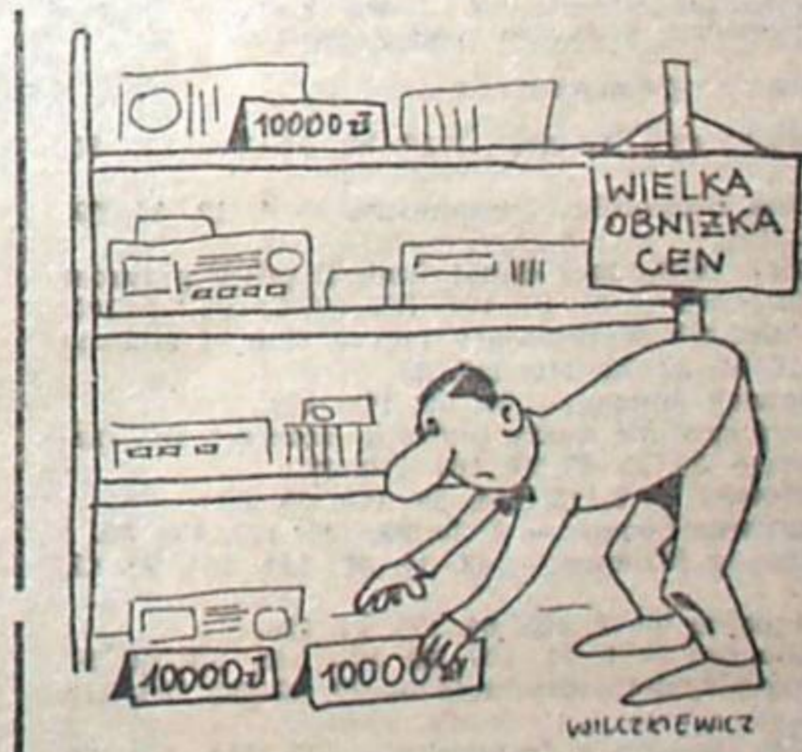
PODAJ CEGŁĘ!



WILCZKIEWICZ



WILCZKIEWICZ



WILCZKIEWICZ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horanik, Tadeusz Jasński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie bierze materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótu.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. KWN w Lublinie ul. Unicka 6

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza RSW Prasa — Kultura — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 253-30

Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowska 17

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 253-93, sekretarz redakcji 218-92, dział publicystyki i literatury 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem:

20-050 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 688, 30.03.1988 r. A-4.

Ekran i widz

Leda z... kaczorem

WSPÓLZESNA Leda nosi strój piosenkar-ki rocka, a zamiast labędzia próbuje obdarzyć swymi wdziękami — kaczora. I już choćby tylko ta scenka może stanowić wi-zytówkę całego filmu Willarda Huycka „Kaczor Howard”; tej zwiariowanej amerykańskiej komedii w stylu disco, wypełnionej lawiną sytuacyjnych i słownych gagów, purnonsensowych sytuacji i nieprawdopodobnych wydarzeń, których główny bohater to sympatyczny i odważny przedstawiciel kaczego ga-łunka.

Inna sprawa, że Howard nie jest takim sobie swyczajnym ptakiem domowym. Pochodzi z odleg-łej, podobnej do naszej Ziemi, planety. Tyle że tam ewolucja zaczęła się nie od małp czelkowskich, ale od prakaczek, doprowadzając w końcu do po-rewstania wysoko cywilizowanej kaczegoj społeczności, podobnej prawie jota w jota do społeczności ludz-kiej. Oczywiście poza wyglądem zewnętrznym.

Porwany w pewnym momencie przez tajemnicze moce ze swego mieszkania, kaczor Howard, jeden z przedstawicieli kaczego show-businessu, zostaje przeniesiony na Ziemię, do miasta Cleveland w Sta-nach Zjednoczonych. I teraz zaczyna się cała lawi-na przygód Howarda, poczynając od bójki z miej-scowymi chuliganami w obronie pięknej rockowej piosenkarki Beverly Switzler, poprzez niesamowite ucieczki samochodami i samolotem przed goniącą kaczora policją, aż po bohaterką walkę z potężnym Władcą Ciemności, pragnącym opanować naszą pla-netę. A wszystko to — na doskonałym, rockowym podkładzie muzycznym, bo przecież film jest prze-

znaczony dla młodzieży, głównie tej w wieku przed-maturalnym.

Protoplastą filmowego kaczora Howarda jest wy-stępujący pod takim samym imieniem bohater cie-szącego się w Stanach Zjednoczonych wielkim po-wodzeniem komiks rysunkowego autorstwa Steve Gerbera. Komiksowy Howard to osobnik wprawdzie zupełnie niepodobny do człowieka, ale za to wy-pasany we wszystkie ludzkie przymioty i tak samo nie pozbawiony ludzkich wad i śmieszności. To właśnie pozwala zapomnieć jego ziemskim towarzy-szom o dziwacznej posturze ich upierzonego kompa-na. Może tym bardziej, że Howard potrafi się, gdy trzeba, wykazać nie tylko zaskakującą dzielnością i odwagą, ale także całkiem... męskim urokiem. Kompletny nonsens? Oczywiście. A jednak bzdurna sytuacja została wypiętrzona w rysunkowych opo-wiściach o Howardzie do takiego szczytowego punktu, gdzie nabiera ona już cech realności.

Podobnie ma się rzecz na ekranie. Jeżeli nawet w początkowych scenach bohater filmu — niaki, zabawnie toczący się na swych krótkich nożkach, obdarzony potężnym dziobem, puszysty stworek — może się jawić widzowi jako martwa kukła, odsta-jąca od swych żywych partnerów, to w pewnym momencie ta różnica całkowicie się zatracza. Postać Howarda, prawda z niej płynąca, aktorstwo nie-zwykłego kaczora (w którego „skórce” siedzi feno-menalny Jordan Prentice) są tak naturalne, jego reakcje i sposób zachowania się wobec part-nerów tak normalne, że przyjmujemy go „z całym dobrodziejstwem inwentarza”. Ni-czym jakiegos Jacka Lemmona czy Jacka Nicholsona, którzy popadli oto na naszych oczach w niezwykle tarapaty, ale ze zręcznością i z humorem potrafią się z nich wykaraskać.

„Kaczor Howard” zawdzięcza swoją doskonałość w ogromnej mierze fachowcom od efektów specjal-nych oraz nieprawdopodobnie biegłym w swym za-wodzie charakterystykom i animatorom. Dzięki ich

kunsztowi nawet dziób kaczora Howarda potrafi wyrazić całą gamę ludzkich doznań. Ale, oczywiście, palma pierwszeństwa należy się reżyserowi Willar-dowi Huyckowi, który jest także współautorem fil-mowego scenariusza. A scenarzyści widzieli „Kaczo-ra Howarda” jako komedię science-fiction z ele-mentami parodii lub pastiszu licznych znanych fil-mów dla masowej widowni („Gwiezdnych wojen” czy „E.T.”).

Można by tutaj też znaleźć przejrzyste odniesie-nia do policyjnego thrillera, do filmu o demonach, do niemej amerykańskiej burleski itd., itp., aż po swoistą autoparodię. Bo wszak „Kaczor Ho-ward” podkpiwa sobie wyraźnie i z gatunku współ-czesnego młodzieżowego filmu rockowego, w które-go granicach sam się mieści. Te założenia potrafił Willard Huyck w mistrzowski sposób przenieść na ekran, nadając całej opowieści o przygodach kaczora Howarda i grupki jego towarzyszy doskonałe tem-po, doprowadzając do zaskakującego finału. Nie byłoby jednak tego filmu bez udziału w nim dosko-nałej Lei Thompson, która wcieliła się w postać partnerki kaczora Howarda, przekonywającej i bar-dzo pociągającej rockowej piosenkarki, Beverly.

Inna sprawa, że doceniając wszystkie pozytyw-y „Kaczora Howarda” (filmu, który bezsprzecznie zro-bi „kasę” i stanie się jednym z głównych frekwen-cyjnych przebojów tegorocznego sezonu filmowego), coraz częściej jednak mam dosyć po dziurki w no-sie tej inwazji zręcznych, doskonałych warszta-towo, ale przecież nieprawdopodobnie płytkich filmów rozrywkowych, przewijających się, jeden za drugim, przez nasze ekrany.

Może oczekiwany od kilku dziesiątków lat angiel-ski „Most na rzece Kwai”, który wreszcie w trze-ciej dekadzie kwietnia wchodzi na lubelskie ekra-ny, przyniesie jakąś zapowiedź repertuarowej od-miany?

M. D.

Począta literacka

Tomasz O. Lublin. Niech Pan potraktuje swoje pisanie wyłącznie jako prywatny za-pis, przeznaczony dla najbliższego kręgu przyjaciół i rodziny. O druku nie może być mowy.

Anna T. Lublin. Wiersze Pani mają, od-powiednio do wieku, wiele świeżości, a za-ręczem, jakby, niepokoju przed bliższą już dojrzałością. Myślę, że właśnie poezja może tu okazać się pomocną, spełniać funkcję te-rapeutyczną. W tym półroczu niech Pani oczekuje debiutu.

Janusz C. Rybnik. Rzeczywiście, wiersz pt. „Pieśń drozda” wyróżnia się wśród po-zostałych, choć i one są poprawne. Wszystkie jednak zbyt mało wyrozumowane i

chłodne, choć obracają się wokół autor-skiego „ja”. Nie skorzystamy. Z prozy tak-że; za długa.

Paweł W. Lublin. Proponuję bezpośrednie spotkanie w redakcji w którymś z najbliż-szych wtorków. Będziemy mieli o czym pomówić. Pańskie wiersze dają pretekst do takiej rozmowy.

Urszula W. Lublin. To prawda, poezja może składać się także z pytań. Pani czyni to jednak zbyt natrętnie i jakby bez szu-kania odpowiedzi, bez oczekiwania na nie. Nagromadzenie czasowników również nicze-mu nie służy, a mnoży wylizankę pytań. Felleton wkrada się do tych wierszy. A może to właściwy kierunek, byle zdążyć ku niemu prozą?

Janusz G. Od lat przysyła nam Pan swoje myśli ułożone w kształt wiersza, nie do-lączając adresu. Niech pan oszczędza na znaczkach. Ani ladu, ani składu.

TJ

Listy do „Kamieny”

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością śledzę w Waszej gazecie cykl rozmów z korespondentami zagranicznymi. Uważam je za bardzo ciekawą, najczęściej głęboką próbę spojrzenia na nasze sprawy niejako „z zewnątrz”. Długo zastanawiałem się, czy o tym do Was napisać, ale w końcu skłonił mnie do tego ostatni wywiad z panem Marinkovićem z Jugosławii. Prezentuje on bardzo ostrą ale zara-zem pełną sympatią dla Polski, krytykę wielu aspektów naszego życia. Zwa-żając podzielać jego opinie na temat polskiej reformy gospodarczej oraz gasnącego życia Warszawy. Wszystko to robione jest przy tym z pozycji realizmu i bez elementów całkowitej negacji. Sądzę, że właśnie od dzien-nikarzy zagranicznych powinniśmy się uczyć, jak krytycznie, ale zarazem realistycznie i konstruktywnie patrzeć na własne bolączki. Dlatego właśnie uważam Wasz pomysł tych rozmów za bardzo pożyteczny.

Z wyrazami szacunku

J. Markiewicz

Lublin

Krzyżówka nr 8

szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment tekstu utworu, którego autorem jest pisarz polski noszący imię i nazwisko składające się z pierwszych liter siedemnastu początko-wych wyrazów pomocniczych. Czarnie kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

- wplywa doń Angara — 13. 36. 54. 168. 143. 85. 154.
- piękna niewolnica Petroniusza — 4. 17. 24. 69. 153. 141.
- iloczyn pochodnej danej funkcji przez przyrost argumentu — 31. 81. 166. 134. 57. 5. 102. 94. 100.
- rzemieślnik wyrabiający rzeczy złote i srebrne — 18. 50. 32. 72. 115. 117. 6.
- człowiek śniegu — 49. 39. 148. 158.
- przypisywanie duszy ludziom, zwierzętom i rze-czom — 30. 23. 47. 58. 165. 110. 40.
- ploteczki — 2. 12. 114. 95. 126. 65. 84.
- pożniwne święto — 3. 20. 86. 187. 173. 130. 25.
- wiszą w łazience — 43. 14. 68. 144. 164. 75. 42. 135.
- stagnacja — 78. 185. 64. 177. 27. 124.
- padaczka — 1. 11. 107. 92. 123. 142. 169. 46. 51.
- spójność, nierozdzielność — 37. 59. 33. 162. 113. 67. 9.
- polot, dowcip z francuska — 22. 118. 104. 80. 155. 96.
- osada u podnóża Gór Świętokrzyskich — 19. 182. 76. 147. 41. 111. 70.
- chirurg zakłada je na koniec operacji — 52. 179. 35. 163.
- Chopin, Moniuszko i Penderecki — 26. 34. 79. 90. 176. 156. 145. 172. 55. 149. 125. 77.
- pomysłowość, wynalazczość — 16. 137. 183. 180. 121. 101. 139. 131.
- dzielnica Gdyni — 15. 112. 88. 63. 73. 29. 184. 136.
- przyczyny — 175. 91. 106. 97. 38. 152.
- las olchowy — 62. 74. 93. 98. 116. 99. 161.
- działo — 45. 160. 129. 56.
- słowo — 82. 53. 178. 127. 167.
- łata zęba — 61. 140. 105. 132. 87. 150.

- wezbranie rzeki — 128. 103. 120. 108. 10.
- głownóg — 171. 8. 60. 122. 66. 109. 83. 133. 146. 71.
- garbaty ssak — 157. 119. 136. 21. 181. 89. 174. 151.
- wydziela żółć — 28. 159. 170. 186. 7. 48. 44.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidlowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8 Z SZYFREM
Poziomo: konfirmacja, Sztaudynger, nagroda, osadnik, aronom, Łasak, grosz, iwani, sezon, okaz, Mekka, lata,

karas, goleń, czek, Cześć, toga, pyłki, pasza, tasak, No-gat, sinolog, palatka, zawilec, Kałiningrad, subskrypcja, Pionowo, Kanał Pasek araby, farsa, krokci, koci, Miazga, epigon, rzeka, czolo, saper, smycz, Apacz, ta-klad, sennik, status, Walia, taksa, Skarb, słoń, Urania, okrzyk, Sagan, Niobe, Olimp, Onega, Roman, Tacza.

Szyfr

...raz na postronku tańczył pies, a kotka śmiała się do łez.

Witold Gombrowicz
„Ferdynand”

Nagrodę wylosował Jan Radomski, ul. Górna 53, 22-530 Mircze.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16		
17		18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	
33	34	35	36	37		38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	
49	50	51		52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	
65	66	67	68	69		70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	
81	82	83	84	85	86		87	88	89		90	91	92	93	94	95	
96	97		98	99	100	101	102	103		104	105	106	107	108	109	110	111
112	113	114	115	116		117		118	119	120	121	122	123	124		125	
126	127	128	129	130	131	132	133		134	135	136		137	138	139	140	141
142	143	144	145	146	147		148	149	150	151	152	153	154	155		156	157
158	159	160	161	162	163		164	165	166		167		168	169	170	171	172
173	174		175	176	177	178	179	180	181	182		183	184	185	186	187	